NUMER 1. ROCZNIK I. STYCZEŃ 1897.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(Mat XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(Św. Dyonizy).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(Św. Franciszek Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św Leon XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TORINO**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Wiernych!

W katolickiej Polsce, między ludem zwłaszcza, który dotąd najwięcej jeszcze zachował staropolskich zwyczajów, czy się rozpoczyna rozmowę czy się ją kończy, przy powitaniu lub przy pożegnaniu, wchodząc do czyjego mieszkania lub z niego wychodząc, ilekroć się gdzie na drodze spotykają choćby całkiem sobie nieznajomi, pisząc list lub rozpoczynając jakąkolwiek przemowę, szczególnie na większych i poważniejszych zebraniach, — zawsze Przenajświętsze Imię Zbawiciela naszego ze czcią i uszanowaniem się pochwali.

Otóż tem staropolskiem pozdrowieniem odzywamy się także, my Salezyanie, do Was, Szanowni nasi **Pomocnicy**, rozpoczynając wydawnictwo *Buletynu salezyańskiego* w języku polskim.

Dodaliśmy zaś do niego drugie, że się tak wyrazimy *salezyańskie*, pozdrowienie Matki Zbawiciela, **Wspomożycielki Wiernych**, gdyż Ona, (jak to o tem już wiecie, a w tym i w następnych numerach niniej-

szego pisma jeszcze dokładniej się przekonacie), jest szczególniejszą Patronką i Obronicielką naszą i Waszą, Pomocą i Ochroną całego Zgromadzenia naszego.

Powód zaś, dla którego właśnie teraz zabieramy się do wydawania **„Wiadomości salezyańskich"** jest po krótce następujący:

W rozdziale V **Ustaw dla Pomocników salezyańskich** pod nagłówkiem: *Ustrój wewnętrzny i zarząd Związku* (= Pomocników), w nr. 7 czytamy co następuje:

> Co trzy miesiące, albo jeszcze częściej, zdawać się będzie *Pomocnikom*, czy to za pomocą *buletynu* czy też innego pisma, sprawę z tego wszystkiego, co nam przedłożono, co się już zrobiło i co do zrobienia pozostaje.
>
> Pod koniec zaś każdego roku przedłoży się stowarzyszonym spis spraw, któremi w roku następnym najwłaściwiejby się zająć wypadało.
>
> Poda się również wykaz zmarłych członków *Związku*, polecając ich dusze wspólnym modlitwom.

Od dość dawna już, bo od roku 1877 dla *Pomocników* narodowości włoskiej, od 1879 r. dla Francuzów, od 1886 dla Hiszpanów, 1892 dla Anglików i Irlandczyków, 1895 zaś dla Pomocników salezyańskich narodowości niemieckiej, miejsce owego *spisu* albo *wykazu* (o którym wspomina wyż przytoczony nr. 7), wydawanego w dość nieregularnych odstępach czasu, zajęło czasopismo wychodzące co miesiąc pod tytułem *Bollettino Salesiano* jako wyraz (czyli jak to mówią *organ*) Zgromadzenia salezyańskiego i jego Pomocników.

Miesięcznik ten stósownie do swojej nazwy omawia przedewszystkiem przedsięwzięcia, czynności i sprawy tyczące się Zgromadzenia *salezyańskiego*. Nie należy go jednakże kłaść na równi z innemi podobnemi co do zadania i treści czasopismami, wydawanemi przez inne Zgromadzenia lub Towarzystwa naszego św. Kościoła, gdyż te

są i urzędowo uznane przez większą część państw ucywilizowanych i zapisane w ich cennikach pocztowych;

wzięły na siebie te same obowiązki i ciężary, ale też z drugiej strony przyznano im te same przywileje co i wszystkim innym pismom publicznym w danem państwie pod opieką jego praw wychodzącym, — można je więc w każdym urzędzie pocztowym za stale oznaczoną cenę dowolnie sobie zapisać; —

podczas gdy nasze **„Wiadomości salezyańskie"** w żadnem państwie w cennikach pocztowych nie są zarejestrowane;

są ściśle przedsiębiorstwem prywatnem;

za ich prenumerowanie żadnej z góry oznaczonej ceny niema, a ich odbiorcy, (w pierwszej linii *Pomocnicy salezyańscy*), za pobieranie pisma płacą (miesięcznie, kwartalnie, rocznie, albo kiedy chcą, gdyż i to jest im całkowicie pozostawione do woli) tylko tyle, ile im środki na to pozwalają i miłość chrześcijańska dyktuje.

Po *buletynie* włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim i niemieckim przyszła obecnie kolej na buletyn *polski*.

Przyczynił się do jego wydawnictwa głównie rozwój **Związku Pomocników salezyańskich** w Polsce. Dla jego członków przedewszystkiem pismo niniejsze jest przeznaczone.

W dobiegającym właśnie do końca roku 1896ym liczba *Pomocników* naszych we wszystkich trzech zaborach znacznie się pomnożyła. Stało się to przeważnie za sprawą pobożnego Stowarzyszenia, stojącego pod naszym zarządem, a zwanego *Związkiem mszalnym Najsłodszego Serca Jezusowego*, założonego niedawno, bo roku 1888, a który od razu gorące znalazł przyjęcie u ludu polskiego na Górnym Śląsku, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, w Prusach Zachodnich i na Warmii.

Związek mszalny utorował w Polsce drogę **Związkowi Pomocników salezyańskich.** Kto się dał zapisać do *Związku mszalnego*, by wziąć udział w pożytku duchownym, jaki się zeń odnosi, i łaskach nadprzyrodzonych, które z niego tak obficie płyną,

ten jednocześnie zapragnął także należeć do grona *Pomocników salezyańskich*, związać się na całe życie ze Zgromadzeniem salezyańskiem, tyle sympatycznem dla każdego Polaka choćby z tego względu, że cześć dla Najświętszej Panny pod wezwaniem **Wspomożenia Wiernych**, jemu właściwa, wywodzi się historycznie (jak o tem zaraz będziemy mówili) głównie od czasu bitwy pod Lepanto i *od zwycięstwa odniesionego przez króla polskiego Jana III Sobieskiego w r.* 1683 *nad Turkami pod Wiedniem.*

Z tem wszystkiem jakkolwiek znaczną już jest liczba Pomocników salezyańskich *polskich*, to jednak jeszcze nie dość dostateczna, by usprawiedliwić ryzyko, na jakie się pod pewnym względem naraża Zgromadzenie nasze, zabierając się do wydawania *buletynu* swego także w ich języku ojczystym. Wiadomo bowiem czytelnikom naszym, ile kosztów pociąga za sobą i przysparza ciężarów wydawanie jakiegobądź czasopisma, chociaż regularną i stałą mającego przedpłatę. Zazwyczaj rozporządzają takie pisma publiczne jeszcze jakimś funduszem zakładowym, służącym im za rezerwę, z którego czerpią w mniej pomyślnych czasach. Jakież dopiero koszta musimy ponosić i jakie brzemię brać na siebie my, którzy wydając nasze różnojęzyczne buletyny nie znamy co to *przedpłata*, a w ogólności cóż za fundusze możemy posiadać my, co żyjemy z dnia na dzień z Opatrzności Boskiej, bez wszelkich kapitałów, obarczeni nadto stutysięczną dziatwą, od nas tylko pobierającą całkowite swoje utrzymanie?

Jeżeli pomimo to nie wahamy się jeszcze jeden ciężar wziąć na swoje barki i, nie zważając na koszta, ochoczo zabieramy się do wydawania *buletynu* w języku polskim, czynimy to **po pierwsze**, ponieważ ufamy, że jak zawsze dotąd, tak również i nadal, Opatrzność Boska za przyczyną Matki Najświętszej Wspomożenia Wiernych w potrzebach naszych nas nie opuści; **powtóre** zaś, ponieważ polegamy na wielkoduszności i wypróbowanej ofiarności naszych Pomocników polskich, którzy z pewnością pismu temu upaść nie pozwolą.

Nie dozwolą upaść tak ze względu na większą chwałę Bożą, którą buletyn polski podobnie jak jego bracia: włoski, francuski, hiszpański, angielski i niemiecki, wziął sobie za główne zadanie, jak również ze względu na godziwą miłość własną i na dobrze zrozumiane uczucie patryotyczne, jakie niewątpliwie w głębi serca odczują.

Na ten drugi punkt szczególniej pragniemy zwrócić uwagę szanownych naszych *Pomocników.*

Co dotąd było tylko gorącem — niestety przez długi, zbyt długi przeciąg lat, płonnem — pragnieniem szczerze do Kościoła katolickiego przywiązanych, a ojczysty kraj po Bożemu miłujących dusz;

co stanowiło tak długo przedmiot zdziwienia życzliwych nam katolickich ludów, widzących, z jaką wytrwałością i męztwem, przypominającem czasy pierwszych chrześcijan, naród polski w licznych i srogich prześladowaniach religijnych, stał i stoi przy wierze swoich praojców, i znających charakter polski: wrażliwy, ale szlachetny i do wszelkich ofiar i poświęcenia skłonny;

nad czem tyle zawsze utyskiwali bogobojni, a głęboko myślący w kraju polskim mężowie, którzy na przykładach, wziętych z dziejów innych narodów, przekonali się, jak hojnie Pan Bóg zsyła błogosławieństwa swoje i łaski na taki lud i kraj, którego synowie ochoczo życie swoje poświęcają, by udać się na misye do dzikich krajów, tam światło Ewangelii i, co za tem idzie, chrześcijańskie uobyczajenie zanieść i dusze, krwią Baranka Bożego odkupione, z mocy szatańskiej wydrzeć;

ów **brak** całkowity misyonarzy polskich w częściach zamieszkałych przez niewiernych (o nim bowiem mówimy) od kilku lat ustał: **Polska zaczyna mieć swoich misyonarzy,** i to *rzeczywistych* misyonarzy, głoszących *błogą nowinę* w ziemiach *pogańskich.*

Otóż ażeby tych misyonarzy polskich zasługi, prace i trudy apostolskie, Panu Bogu na większą chwałę, Najśw. Pannie Wspomożycielce na cześć, Polsce na chlubę, a wszystkim Pomocnikom naszym na pożytek zbawienny podnieść i do wiadomości podać, — to jest drugi powód, dla którego rozpoczynamy teraz wydawać nasz *buletyn* także w języku polskim i to będzie jednem z zadań **„Wiadomości salezyańskich“**, któremu z Bożą pomocą, odpowiednio do słabych swych sił, starać się będą uczynić zadosyć.

O podawanie podobnych wiadomości o tych nowych misyonarzach polskich byliśmy już nieraz z różnych stron proszeni.

» Mamy nadzieję (tak pisały n. p. *Missye katolickie*, wydawane przez OO. Jezuitów w Krakowie, jeszcze w lutym 1895 r.), że OO. Salezyanie, którzy mają w swem Zgromadzeniu wielu kapłanów naszej narodowości, raczą od czasu do czasu pisywać do nas obszerniejsze listy o owocach swych prac apostolskich w Ameryce. Chętnie zamieszczalibyśmy takowe w *Missyach katolickich*, a sądzimy, że nie mniejby one interesowały naszych czytelników, jak korespondencye innych misyonarzy i przyczyniłyby się dla dobra samego nowego Zgromadzenia. «

Z różnych pobudek życzeń tych nie mogliśmy dotąd spełnić; a nawet rozpoczynając obecnie wydawać **„Wiadomości salezyańskie“** bynajmniej nie przyrzekamy, że *od razu* będziemy przynosić krom korespondencyi, kreślonych piórem misyonarzy salezyańskich, Włochów i Francuzów, także wiadomości z różnych stron świata i różnych pól misyonarskiego zawodu, pisane przez misyonarzy salezyańskich *Polaków*.

To jedno możemy zapewnić, że takie listy i wiadomości — da Pan Bóg doczekać — będą.

Przestrzedz jednakże musimy już teraz z góry czytelników **„Wiadomości salezyańskich“**, aby od nas i misyonarzy naszych nie wymagali, czego przy najlepszej woli daćbyśmy im nie mogli i nie umieli.

I tak: mówiąc o wiadomościach *z różnych stron świata i z różnych pól misyonarskiego zawodu*, tem samem bynajmniej nie myślimy zapowiadać skarbów, mających wzbogacić polskie piśmiennictwo. Srodze by się zawiódł ten, ktoby w listach z podróży lub wycieczek apostolskich naszych misyonarzy szukał opisu przygód na lądzie i na morzu na wzór Coopera, Mayne Reida albo Marryata, lub oczekiwał po nich zajmujących, co do formy artystycznej wykończonych i do wyobraźni równie jak do serca przemawiających listów z podróży w rodzaju Kremera, Odyńca albo Sienkiewicza.

Listy będą proste, jak prostą jest nauka wiary, którą misyonarze pośli głosić: skromne, jak skromnym jest stan zakonny, który wybrali i w którym siebie i innych pragną zbawić — skromne i proste — a niemniej przeto dla Was, mili *Pomocnicy*, dla których na pierwszem miejscu są przeznaczone, cenne i ciekawe.

Owszem, tem cenniejsze i ciekawsze, gdyż misyonarze, którzy je piszą, są to własni Wasi synowie, bracia, krewni i znajomi, — rodacy, jednem słowem, którzy powołani przez Pana, poszli za Jego głosem, wychowali się i wykształcili przy grobie ks. Bosko pod ojcowskiem okiem i kierunkiem pierwszych jego uczniów, przejęli się jego duchem, zwartym hufcem stanęli w szeregu jego synów, a parci głosem wewnętrznym oddali się Bogu na służbę (jeżeli tak można powiedzieć) doskonalszą jeszcze od zakonnej, bo zerwawszy z tem wszystkiem, do czego serce człowieka lgnie zawsze najwięcej — z rodziną i ojczyzną, — pracują na chwałę Bożą daleko od miłego ojczystego kraju, od rodziców, przyjaciół i krewnych, daleko od stron cywilizowanych, wśród dziczy i pustyni, wystawieni na wszelkie niedostatki i trudy, jakie zawód apostolski ze sobą niesie, narażeni na niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju czy to z powodu zmiany klimatu i trybu życia, lub innych fizycznych, a tyle odrębnych właściwości owych dalekich krain, czy

też ze strony samychże dzikich, którym światło Wiary św. zanieśli.

Głosicielom słowa Bożego wybaczycie bez wątpienia wszelkie usterki i braki, tak co się tyczy treści jak i formy zewnętrznej.

Co do nas zaś, wydawców niniejszego pisma, to naprzód upraszamy Szanownych naszych Pomocników o pobłażliwość: nie jesteśmy bowiem literatami *z zawodu*, lecz z posłuszeństwa i potrzeby, a wśród natłoku najrozmaitszych codziennych spraw i zajęć, którym się z obowiązku naszego stanu oddajemy, tylko w wolnych chwilach możemy chwycić za pióro.

Pobłażliwości tej i dla misyonarzy i dla nas dopraszamy się i jej się napewno od Was spodziewamy także z tego względu jeszcze, że »**Wiadomości salezyańskie**« nie są przeznaczone dla jednego tylko stanu społeczeństwa polskiego, lecz dla wszystkich bez wyjątku: dla ubogich i dla bogatych, zarówno dla uczonych jak dla prostaczków, ludzi z uniwersyteckiem i ze średniem tylko wykształceniem. Jednych i drugich liczymy bowiem w gronie naszych *Pomocników*. Musimy więc pisać tak, żeby wszystkich zarówno zadowolnić. Czy żądaniu temu zdołaliśmy lub zdołamy sprostać, — o tem będziecie sądzić Wy, przezacni Pomocnicy. Z naszej strony zaręczamy, że będziemy się o to starać usilnie.

Kończymy to dość długie słowo wstępne tem samem pozdrowieniem, jakiem byliśmy je rozpoczęli:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Wiernych.



NABOŻEŃSTWO do Najświętszej Maryi Panny pod wezwaniem WSPOMOŻENIA WIERNYCH.



1. Początek tego nabożeństwa.

Gdybyśmy chcieli wywieść początek nabożeństwa do Najświętszej Maryi Panny, wzywanej jako Wspomożycielki **rodu ludzkiego**, należałoby nam właściwie sięgnąć do pamiętnego po wszystkie wieki dnia, w którym Pan Bóg wypędził Adama z raju, ale zarazem pocieszył go obietnicą, że powstanie Niewiasta, która przez Syna swego zetrze potęgę węża kusiciela (Gen. III, 15).

Należałoby następnie wyliczyć wszystkie figury, pod jakiemi w księgach **Starego Zakonu** cnoty, przywileje i chwała Maryi są przepowiedziane wraz z obfitością dobrodziejstw i łask, jakie przez Nią na świat miały spłynąć. Ewa, matka rodzaju ludzkiego, Sara, żona Abrahama, Rebeka, Marya, siostra Mojżesza, Suzanna, Debora, Ester, Judyta — wybawczynie Izraela, — każda z nich na swój sposób przedstawia cnoty i chwałę Maryi jako Wspomożycielki i Ostoi **całego rodzaju ludzkiego.**

Drzewo zaś *żywota*, które w raju kwitło; *arka Noego*, co w powszechnym potopie ocala ośmiu jedynych czcicieli prawdziwego Boga; *drabina Jakóbowa*, sięgająca stropu niebieskiego; *krzak gorejący* Mojżesza, który się pali ale którego płomienie nie trawią (godło wiecznego dziewictwa Najśw. Panny pomimo wydania na świat Syna Bożego); *arka przymierza*, rękojmia zwycięstwa ludu wybranego; *wieża Dawidowa*, od wszelkiego najścia nieprzyjacielskiego broniąca; *róża jerychońska*; *zdrój zamknięty*; *ogród Salomonowy* pielęgnowany i pilnie strzeżony; *przekop wody* i wodociąg, *który wyszedł z raju* (Eccl. XXIV, 42); *runo Gedeona*; *gwiazda Jakóbowa*; nazwy dawane Jej, że jest *piękną jako księżyc, wybrana jak słońce*; przenośnie jak n. p. że jest *tęczą pokoju, źrenicą oka Bożego, jutrzenką*, przesłanką pociech i ulg — wszystkie te i tym podobne figury i wyrażenia, napotykane w Piśmie św., które Kościół stosuje do Najśw. Panny, ujawniają nam zamiary Opatrzności Boskiej, co jeszcze przed przyjściem Maryi na świat, chciała dać Ją poznać jako Córę pierworodną pomiędzy wszystkiemi stworzeniami, najcelniejszą Opiekunkę rodu ludzkiego, oraz Naprawicielkę smutnych następstw upadku pierwszego człowieka, które z jego winy przeszły na całe jego potomstwo.

Chcąc dalej wyprowadzić początek nabożeństwa do Najśw. Panny, jako Wspomożycielki rodzaju ludzkiego, należy sięgnąć pamięcią do drugiego,

po wszystkie wieki pamiętnego dnia, w którym Archanioł Gabryel posłany był od Boga, aby zwiastować Pannie Maryi, iż ma się stać matką Słowa Przedwiecznego, Ona zaś, łaski pełna, z pokorą odrzekła, że jest *służebnicą Pańską* i żeby *się Jej stało wedle słowa jego,* — od której to chwili stała się rzeczywistą Wspomożycielką **całego rodzaju ludzkiego,** gdyż właśnie tem poddaniem się woli Bożej i przez to, iż została Oblubienicą Ducha św. a matką Zbawiciela świata, przyczyniła się do wyzwolenia potomstwa Adamowego z niewoli szatana, w której tyle wieków było jęczało. Spełniła się więc obietnica dana praojcowi w raju: nasienie Niewiasty zniszczyło potęgę węża piekielnego.

W księgach **Nowego Testamentu** zasługi, przywileje i cnoty Matki Przenajświętszej nie tylko Ją okazują jako Wspomożycielkę rodu ludzkiego w ogólności, lecz wprost jako Opiekunkę i **Wspomożenie wiernych,** czyli chrześcijan, a to bez wszelkich osłon i figur symbolicznych: jak Ewangelia w ogóle jest urzeczywistnieniem i spełnieniem się wszystkiego tego, co był zapowiadał Zakon Stary.

Słowo przedwieczne, Zbawiciel świata, stał się **Synem człowieczym,** synem Przeczystej Dziewicy. Z Niej się narodził, przez Nią był wychowany, przez cały przeciąg życia swego ukrytego, to jest zanim jeszcze rozpoczął był publiczną działalność, Swojej Rodzicielce i dziewiczemu Opiekunowi we wszystkiem podległy. Na Jej wezwanie uczynił pierwszy swój cud w Kanie galilejskiej, na Kalwaryi uczynił Ją Matką wspólną chrześcijan. Kiedy zaś rozpięty na krzyżu oddał Jej nas jako swoich synów w osobie św. Jana, Ona, przyjmując tę godność wspólnej naszej Matki, przybrała jednocześnie nie tylko samą nazwę, lecz nadto wzięła na się wszelkie obowiązki, wszystkie powinności matki, z których pierwszym jest bronienie i wspieranie swoich synów.

Że zaś Matka Najświętsza tak właśnie zrozumiała zlecenie dane Jej przez Boskiego Syna, dowodem tego całe Jej dalsze postępowanie po Jezusowem zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu. Całe Jej życie aż do Wniebowzięcia było jednem pasmem starań o zbawienie świata i o rozkrzewienie Wiary. Apostołowie święci i Uczniowie Pańscy od Niej brali słowa zachęty i rady, Ona ich krzepiła do wytrwałości w dziele odrodzenia świata, Ona była ich kierowniczką i mistrzynią wszelakich cnót. Akta apostolskie świadczą, że brała udział w zebraniach wiernych, trwała wspólnie z nimi na modlitwach, była obecną kiedy we wieczerniku Apostołowie wzięli Ducha św., przed swojem zaśnięciem do nich zwróciła ostatnie swe słowa, aż chwały pełna poniesioną była do nieba.

Przedewszystkiem jednakże po chwalebnem swojem Wniebowzięciu zaczęła Matka Przenajświętsza okazywać się **Wspomożeniem Wiernych.** Odkąd przeczysta zasiadła na stolicy chwały niebieskiej, zwraca ustawicznie ku nam oczy swe miłosierne, pełne macierzyńskiej tkliwości, jakby mówiła: *Ego in altissimis habito ut ditem diligentes me et thesauros eorum repleam.* (Ja mieszkam na wysokości, abym ubogaciła tych, którzy mnie miłują, i skarby ich abym napełniła. Eccli. XXIV, 7; Prov. VII, 22). Od czasu Jej Wniebowzięcia też zaczęło się ciągłe i nigdy nieprzerwane udawanie się chrześcijan pod Jej opiekę, gdyż jak mówi Bernard św., *od wieków nie słyszano, aby ktokolwiek pod Jej uciekający się obronę, Jej błagający wspomożenia i o Jej proszący przyczynę, został opuszczony.* Tem się tłómaczy, dlaczego każdy wiek, każdy rok, każdy dzień, a nawet bez przesady możemy powiedzieć, każda chwila w dziejach świata, nosi na sobie ślad Jej dobrodziejstw i łask, miłościwie i obficie udzielanych tym, którzy Ją o nie z żywą wiarą proszą. To jest również przyczyną, dlaczego obecnie na całej kuli ziemskiej niema takiego państwa, takiego miasta, takiej wsi, takiego domu katolickiego, gdzieby nie istniał czy to kościół, czy kaplica, ołtarz czy bractwo, gdzieby się nie znajdował obraz, ex voto, lub jakibądź znak, który świadczy i o czci powszechnej oddawanej Maryi i o łaskach wyproszonych przez Nią u Pana Boga dla wszystkich tych, którzy się do Niej w potrzebach swoich uciekali.

Pannie Najśw. Kościół św. przypisuje pokonanie herezyi, które od samego początku chrześcijaństwa usiłowały skazić i rozszarpać jednolitość wiary, dla tego śpiewa na Jej cześć: *Tu cunctas haereses sola interemisti in universo mundo* (Tyś sama jedna pokonała wszystkie kacerstwa na całym świecie).

Potężnej przyczynie Tej, do której Kościół odnosi słowa Pisma: *terribilis ut castrorum acies ordinata* (groźna jak wojsko ustawione w szyku bojowym, Cant. VI, 3) zawdzięczały tyle razy wojska chrześcijańskie wyruszające na spotkanie wrogów, czy to w obronie wiary czy też ojczyzny, zwycięstwo i tryumf.

Moglibyśmy wyliczyć długi szereg faktów, skrzętnie zanotowanych w historyi powszechnej i kościelnej, na poparcie naszych słów, ograniczymy się jednakże na wyliczenie tych tylko, które bezpośrednio dały powód Papieżom do ustanowienia święta Matki Boskiej **Wspomożenia Wiernych.**

2. Bitwa pod LEPANTO.

(7 paźdz. 1571).

Za panowania sułtana **Solimana II,** zwanego *Wspaniałym,* i syna jego oraz następcy, **Selima II,** potęga turecka doszła do zenitu. Soliman zdobył twierdzę i wyspę Rodus, ostatnią warownię rycerzy św. Jana, podbił Węgry i w zwycięskim pochodzie ku środkowej Europie zapędził się aż pod Wiedeń. Pod Selimem Turcy zdobyli wyspę Cypr, bronioną przez Wenecyanów, dopuszczając się na jeńcach chrześcijańskich niesłychanych okrucieństw. Wtenczas blady strach padł na chrześcijaństwo, zwłaszcza na ludy południowej Europy: oczekiwano powszechnie rychłego najazdu Turków na Włochy.

Grożące ze wschodu niebezpieczeństwo, gorączkowe przygotowania i gromadzenie niezmier-



Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Wiernych.

nych przyborów wojennych w tureckich portach i arsenałach, sprawiły, że niezgodne zazwyczaj i w ciągłych ze sobą zostające zwadach państewka włoskie, usłuchały tym razem chętnie głosu Namiestnika Chrystusowego, Ojca świętego **Piusa V**, wzywającego je do zawiązania ligi przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi. Do ligi tej chrześcijańskiej przystąpił również król **Filip II** hiszpański.

Ażeby utrzymać nieodzowną zgodę i jedność pomiędzy sprzymierzonymi, uchwalono jednomyślnie obwołać Ojca św., Piusa V, naczelnikiem ligi. Chodziło jeszcze tylko o zamianowanie wspólnego wodza zjednoczonych sił chrześcijańskich. Znalazł go Pius V w osobie **Don Juan'a d'Austria**, brata przyrodniego króla hiszpańskiego, Filipa II, który już w różnych wojennych wyprawach okazał był nadzwyczajną waleczność, połączoną z przezornością i wszelkimi przymiotami potrzebnymi dobremu wodzowi. Dowódzcą galer papieskich był **Marek Antoni Colonna**; na wyprawę otrzymał od Papieża sztandar z wizerunkiem Zbawiciela rozpiętego na krzyżu, z napisem: *In hoc signo vinces* (w tym znaku zwyciężysz). Statki weneckie wiódł **Veniero** i mężny **Barbarigo**, genueńskim przewodził **Jan Andrzej Doria**.

Naczelnik jednakże ligi i właściwy twórca całej wyprawy, Ojciec św. Pius V, wyprawiając sprzymierzeńców na Turków, nie polegał jedynie na flocie chrześcijańskiej, lubo dosyć licznej i dobrze zaopatrzonej. Całą swoją ufność położył raczej w pomocy z Niebios. Don Juanowi przepowiedział pewne zwycięstwo pod warunkiem, jeśli on sam jako generalissimus świecić będzie przykładem w pełnieniu chrześcijańskich cnót swoim podwładnym; jeżeli z wojska wydali osoby niegodne imienia chrześcijańskiego, lub które się do wyprawy przyłączyły jedynie w nadziei spodziewanych łupów, i jeżeli surowo przestrzegać będzie, ażeby żołnierze nie miotali przekleństw i nie oddawali się grze i rozpuście.

Trzy dni przed 8ym września 1571 r., świętem Narodzenia Najświętszej Panny, trzydniowy post zapowiedziano flocie chrześcijańskiej; cała załoga spowiadała się, przystąpiła do komunii św. i otrzymała odpusty, zastrzeżone wyłącznie dla uczestników wyprawy. Liczni kapłani świeccy i zakonni, na flocie się znajdujący, znakomicie podtrzymywali ducha ożywiającego wojsko sprzymierzeńców.

16 września opuściła flota port Messiny, okrążyła zwolna południowe kończyny półwyspu apenińskiego, wypłynęła na morze adryatyckie i na wodach C o r f ù rozwinęła się w szyk bojowy, gotowa do walnej rozprawy. Po dłuższem oczekiwaniu nieprzyjaciela, zawiedziona w swojej nadziei, postanowiła sama go poszukać i zmusić do bitwy. Tym końcem posunęła się nieco ku południowi, wpłynęła do zatoki lepanckiej i prawie na tych samych wodach, na których kilka wieków wstecz **M. Antonius** i **Octavianus** walczyli byli ze sobą o panowanie nad ówczesnym światem, spotkała się z flotą turecką, ażeby rozegrać walkę, mającą równą co tamta doniosłość. Nawet większą o wiele: chodziło tu bowiem nietylko o panowanie Wschodu nad Zachodem lub odwrotnie, lecz głównie o to, czy muzułmański półksiężyc pokona chrześcijański krzyż, czy islam weźmie górę nad chrześcijaństwem.

Było to dnia 7go października 1571 r. krótko po południu, gdy flota chrześcijańska spotkała się nareszcie z turecką. Don Juan d'Austria, po krótkiej naradzie wojennej, postanowił jeszcze tego samego dnia się z nią zmierzyć.

Siły tureckie znacznie przewyższały zastępy chrześcijańskie: ich flota liczyła samych galer 245, prócz tego mogło na linii bojowej stanąć jeszcze 87 tureckich statków wojennych różnej wielkości, gdy tymczasem chrześcijańskich okrętów wojennych nie było więcej nad 209.

Przygotowanie do bitwy po stronie chrześcijańskiej odbyło się szybko: środek linii bojowej zajął Juan d'Austria wraz z admirałem papieskim, Colonna, i weneckim admirałem, Veniero; na prawem skrzydle dowodził Genueńczyk Jan Andrzej Doria, na lewem Wenecyanin Barbarigo: rezerwą zawiadował markiz Santa Cruz. Krótkie, ale ogniste były przemowy wodzów do żołnierzy: przedstawili im ważność chwili i zagrzali do spełnienia nadziei, jakie na ich orężu pokładało całe chrześcijaństwo. Poczem wszyscy uklękli a kapłani, z krucyfiksem w ręku, udzielili całej załodze rozgrzeszenia i odpustu zupełnego, nadanego przez Ojca św. W kilka chwil później, na dany znak z admiralskiego statku, huknęły kotły i zagrały trąby: wszyscy chrześcijanie padli raz jeszcze na kolana, wezwali pomocy Najśw. Maryi Panny i oddali się w opiekę Trójcy Przenajświętszej. Tak był rozporządził Pius V.

Nastała chwila ciszy: obydwie floty wyciągnięte w dwie długie linie spoczywały nieruchome; po obu stronach przeciwnicy mierzyli się wzrokiem wpierw nim rozpoczęli śmiertelne zapasy, z podziwem spoglądając, a wielu nawet z przestrachem, na nieprzyjacielską potęgę. Wtem około godziny czwartej po południu na admiralskim statku tureckim, na którym stał naczelny wódz, kapudan **Ali** basza, rozległ się wystrzał na znak rozpoczęcia boju; kula, wysłana z najcięższego i największego z Don Juan'owych dział, zawarczała w powietrzu, niosąc Ottomanom chrześcijańską odpowiedź, zaczem rozpoczęła się walka na całej linii. Turecka flota, starym zwyczajem ustawiona w formie półksiężyca, silniejsza co do liczby okrętów od chrześcijańskiej, wzięła odrazu nad nią przewagę; obydwa rogi półksiężyca zwinęły się silnie, usiłując opasać flotę chrześcijańską i zgnieść ją w śmiertelnym uścisku; żołnierze chrześcijańscy, słabsi co do liczby od pohańców, mieli nadto tę niekorzyść, że z frontu byli oślepiani promieniami zwolna zachodzącego słońca i mieli przeciwny sobie wiatr, zwiewający na nich całe kłęby dymu z nieprzyjacielskich armat. Niebawem jednakże wiatr ustał i o dziwo! po krótkiej chwili zerwał się na nowo, lecz począł wiać w prost przeciwnym kierunku, zionąc wszystek dym chrześcijańskiej artyleryi bisurmanom w oczy. Ta nagła zmiana podniosła nadzwyczaj ducha zastępów chrześcijańskich, nie zmniejszyła jednakże bynajmniej męstwa załogi tureckich statków; od samego po-

czątku bitwy Turcy bili się równie krzepko i zażarcie.

Obaj zapaśnicy mieli żywy przykład męstwa w swoich wodzach: ustawione w środku linii bojowej naprzeciw siebie obydwa admiralskie statki, wkrótce po rozpoczęciu walki ogólnej skwapliwie przypadły ku sobie: przez niespełna godzinę sypały do siebie ogniem, aż nareszcie po długiej, zażartej strzelaninie, kula powaliła tureckiego admirała, na jego okręt wdarła się załoga Don Juanowego statku, wycięła pohańców w pień, zrzuciła flagę z wysokiego masztu, a głowę poległego kapudan-baszy zatknęła na wysoką dzidę. Centrum tureckie zostało wnet przełamane: okrzyki tryumfu wydarły się z piersi chrześcijan, szala zwycięstwa poczęła powoli na ich przechylać się stronę. Jakoż niebawem w ślad za środkiem tureckiej floty, pod natarciem dzielnych Wenecyanów, ustąpiło z linii bojowej również prawe jej skrzydło: Barbarigo własnoręcznie położył trupem tureckiego dowódzcę. Lewe natomiast skrzydło tureckie, walczące z Genueńczykami, przez pewien czas wzięło nad nimi górę; za nadejściem wszakże chrześcijańskiej rezerwy pod markizem Santa Cruz i ono zostało odparte. Zwycięstwo chrześcijan było zupełne. Turcy stracili 224 statków wojennych, z których 94 częścią zostały spalone, częścią poszły na dno; około 30,000 niewiernych legło trupem lub zostało pogrążonych w odmętach morskich, 3500 wzięto do niewoli, a 15,000 chrześcijan, użytych jako wioślarzy na tureckich galerach, rozkuto i obdarzono wolnością. Straty chrześcijan wynosiły 15 okrętów i 8000 załogi.

Przegrana pod Lepanto zniszczyła raz na zawsze przewagę turecką na morzu; ludy chrześcijańskie, zamieszkujące północne wybrzeża morza Śródziemnego, odetchnęły swobodnie: napad na Europę południową w rozmiarach, jak to niewierni zamierzali byli w r. 1571, już się więcej nie powtórzył.

Podczas gdy flota chrześcijańska wyruszała na pohańców, w Rzymie tymczasem przez cały miesiąc wrzesień i początek października odprawiano ustawicznie procesye i zarządzano publiczne modły dla wybłagania zwycięstwa dla chrześcijańskiego oręża. Ojciec św. Pius V na ten cel rozdawał hojne jałmużny i umartwiał coraz surowiej już i tak postami i ostrą pokutą wycieńczone ciało. Całą noc poprzedzającą bitwę na wodach Lepanto, jak również cały następny dzień, niepomny na podeszły wiek i mocno nadwątlone zdrowie, przepędził w poście i na modlitwie. Pod wieczór tego pamiętnego dnia podskarbi dworu papieskiego zdołał nareszcie u niego otrzymać audyencyę w pilnej jakiejś sprawie; za nim weszło do sali kilku prałatów. Podskarbi rozpoczął mówić, wtem Papież powstał, ruchem dłoni nakazał milczenie, przystąpił do okna, otworzył je i przez kilka minut nadsłuchiwał z wytężoną uwagą. Nagle zamknął okno i z uniesieniem zawołał: *„Teraz nie czas na sprawy doczesne! Idźmy dziękować Panu Bogu. Właśnie o tej porze flota nasza potyka się z Turkami i odnosi zwycięstwo.“* Łzami zalany upadł Ojciec św. na kolana w prywatnej swej kaplicy i długo, długo wznosił modły dziękczynne do Nieba. W kilka dni później nadeszła do Rzymu wiadomość o odniesionem zwycięstwie; widzenie Ojca św. w dniu 7go października zostało stwierdzone: pod wieczór tego właśnie dnia krzyż tryumfował nad półksiężycem.

Na uwiecznienie tego pamiętnego zwycięstwa ustanowił Pius V święto Matki Boskiej Różańcowej, mające przypadać na każdą pierwszą niedzielę miesiąca października, a do litanii loretańskiej dodał wezwanie: **Auxilium Christianorum, ora pro nobis** (Wspomożenie Wiernych, módl się za nami).

(*Dokończenie nastąpi*).



RYS
życia i dzieł X. Jana Bosko.



O księdzu Janie Bosko, Opiekunie ubogiej młodzieży i Ojcu sierot, Założycielu Zgromadzenia XX. Salezyanów, tyle razy jeszcze będzie mowa w *Wiadomościach salezyańskich*, działalność jego wszechstronną, przeważnie jednak na polu kształcenia i wychowania młodego pokolenia, tylekroć i to z różnych punktów widzenia opisać i szczegółowo przedstawić będziemy mieli jeszcze sposobność, że na tem miejscu ograniczymy się na treściwem przytoczeniu głównych wypadków z ciągu jego życia w porządku chronologicznym, nie wdając się na razie w ich ocenę, sąd o nich pozostawiając czytelnikom, którym za cały wstęp przypomnimy jedynie słowa naszego Zbawiciela: *z owoców ich poznacie je.*

X. Jan Bosko urodził się wieczorem dnia 16 sierpnia r. 1815 w ubogiej chacie, należącej do przysiółka *i Becchi* (czytaj *Bekki*), w wiosce *Murialdo*, stanowiącej odłam gminy i parafii *Castelnuovo d'Asti*, w archidyecezyi turyńskiej, w północnych Włoszech.

Rodzicami jego byli Franciszek Bosko i Małgorzata z domu Occhiena (czytaj *Okkiena*), oboje ubodzy, lecz bogobojni wieśniacy.

W drugim roku życia utracił ojca, wychowaniem przeto jego zajęła się matka, która nie szczędziła zachodów i wszelkich dokładała starań, by wyrósł na cnotliwego i pracowitego młodzieńca.

W dziesiątym roku życia miał ów tyle znamienny sen, w którym widział, jak wilki i inne drapieżne zwierzęta, które mu kazano paść, stopniowo pod jego wpływem zamieniały się w baranki, te zaś w chłopców skromnych i bogobojnych, z tych znowu niektórzy w kleryków i księży. Jako 12 letni chłopiec o niczem innem nie marzył, jak o zajmowaniu się i opiekowaniu ubogą a opuszczoną dziatwą. Czując w sobie coraz wyraźniej ten wewnętrzny pociąg, mawiał nieraz: *„Jeżeli kiedyś*

*

zostanę księdzem, to całe moje życie poświęcę dla młodzieży. Będę chłopców koło siebie gromadził, będę ich miłował, oni mnie również pokochają, będę ich zachęcał do dobrego i oddam im się cały na usługi, byle tylko przyczynić się do ich zbawienia.“

Pierwszą komunię św. przyjął w 11ym roku życia (1826) w kościele parafialnym w *Castelnuovo d'Asti* z niezwykłą pobożnością i zbudowaniem dla wszystkich swoich towarzyszy.

W 16ym roku życia (1831) rozpoczął naukę łaciny w *Chieri*, mieście niezbyt odległem od Castelnuovo, które wówczas kwitnące posiadało gimnazyum.

Przywdział sukienkę duchowną w dzień św. Michała, 29 września 1835 r., skończywszy 20 lat życia, i wstąpił do seminaryum duchownego w *Chieri*, będącego wówczas obok głównego seminaryum w *Turynie* drugim tego rodzaju zakładem w archidyecezyi turyńskiej.

Otrzymał mniejsze święcenia w *Turynie* dnia 29 marca r. 1840; subdyakonat 29 września tegoż roku, dyakonat 27 marca, a święcenia kapłańskie 5 czerwca r. 1841.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich działalność jego duszpasterska rozwinęła się w nadzwyczajny sposób. Niepodobna w tem iść za nim, że się tak wyrazimy, krok w krok we wszystkich jego czynnościach. Ważniejsze wypadki z jego życia łączą się z licznymi i najróżniejszymi zakładami, które z biegiem czasu stopniowo powoływał do życia.

W kilka miesięcy po otrzymaniu święceń kapłańskich wstąpił do konwiktu duchownego w *Turynie*, gdzie przepędził trzy lata: dwa na praktycznej nauce teologii moralnej (czyli t. z. pastoralnej), trzeci zaś rok jako zastępca profesora tejże teologii.

W tym samym roku 1841 dnia 8 grudnia, w święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, dał początek pierwszemu z tyle słynnych swoich **oratoryów** (po włosku *oratorii festivi*, po polsku *kaplic świątecznych*) w kościele św. Franciszka z Asyżu; a pierwszym opuszczonym i moralnie zaniedbanym chłopcem, którym się zajął, był Bartolomeo Garelli.

Następnego roku (1842) w lutym miał ich już dwudziestu, niezadługo liczył ich całą setkę, a nadawszy tym luźnym i zrazu dość niesfornym żywiołom ściślejszą organizacyą, oddał to swoje *oratoryum* pod opiekę św. Franciszka Salezego. Roku 1844 gromadziło się około niego już blisko 300 chłopców, których musiał nauczać pod gołem niebem, nie mogąc się z nimi z przyczyny niechętnych lub wprost niegodziwych ludzi nigdzie usadowić.

W r. 1844 przeniósł się jako spowiednik i kierownik duchowny do małego przytułku, założonego przez Markizę Julią Barolo, dokąd również przeniósł swoje *oratoryum*; tutaj poświęcił kaplicę dnia 8 grudnia pod wezwaniem *św. Franciszka Salezego*, obierając tego Świętego za szczególnego Patrona nowo założonej *kaplicy świątecznej*. Stąd wzięła początek nazwa **Oratoryum salezyańskiego** nadana tak temu zakładowi, jak w ogóle wszystkim innym, które z biegiem czasu się z niego wytworzyły.

Wraz z innymi chłopcami zaczął tu w r. 1845 uczęszczać ośmioletni Michał Rua, obecnie następca X. Bosko, jenerał Zgromadzenia XX. Salezyanów.

W pierwszych dniach sierpnia 1845 usunięty wraz z chłopcami z małego przytułku, otrzymał od rady miejskiej pozwolenie zgromadzania chłopców w kościele *św. Marcina*. Po dwóch miesiącach wydalony (głównie dla zgiełku, jaki wszczynali chłopcy, gromadząc się na naukę katechizmu) także stąd, otrzymał kościółek *św. Piotra w okowach*.

Opuszczony prawie od wszystkich dotychczasowych swoich pomocników i wyparty także z kościoła św. Piotra, przeniósł swe *oratoryum* na łąkę, którą wynajął w dzielnicy, zwanej **Valdocco**, w miejscu gdzie obecnie wznosi się lejarnia, pomiędzy ulicą *Cottolengo* a *Cigna*.

Dnia 12 kwietnia 1846 r. przeniósł się na stałe mieszkanie na Valdocco i to właśnie tam, gdzie obecnie wznosi się Oratoryum św. Franciszka Salezego.

W tymże roku 1846 w miesiącu lipcu zapadł w ciężką chorobę, z której wyzdrowiał (jak sam utrzymywał) jedynie wskutek gorących modlitw swoich wychowanków. Jesienią tego roku usunął się na pewien czas do rodzinnej wioski, celem poratowania nadwątlonego zdrowia. Dnia 3 listopada powrócił do *Turynu* wiodąc ze sobą matkę, która odtąd przy synu zamieszkawszy, nieocenioną stała się dla nowego Oratoryum pomocą. Aby módz jak najwięcej chłopców przygarnąć, X. Bosko sprzedał swoją ojcowiznę, a matka Małgorzata nawet ślubną suknię i ozdoby; za to najął obok kaplicy kilka izdebek i umieścił w nich kilku, później kilkunastu chłopców, których wraz z matką czułą otoczył opieką.

Rok przedtem (1845) rozpoczął już był szkółki wieczorne i niedzielne, lecz dopiero w r. 1847 mając do rozporządzenia dość obszerny i dogodny lokal, rozszerzył je odpowiednio, dając w ten sposób możność kształcenia się licznej i żądnej nauki młodzieży, która też chętnie ze wszystkich stron się do niego garnęła. X. Bosko był wogóle pierwszym, który we Włoszech założył podobne szkoły; obecnie rozpowszechniły się po całym kraju. W niedziele i święta, w czasie wolnym od nabożeństwa, uczył nadto takich terminatorów, którzy dla różnych przeszkód nie mogli uczęszczać do szkółek wieczornych.

W maju r. 1847 po raz pierwszy zaczął przyjmować chłopców na stały pobyt i to było zawiązkiem pierwszego jego *schroniska*.

Dnia 8 grudnia w tymże roku 1847 otworzył drugie *oratoryum*, przy Porta Nuova, pod wezwaniem *św. Alojzego Gonzagi*, zachęcając chłopców ciągle, by szczególniejsze mieli nabożeństwo do tego Świętego.

Trzecie *oratoryum*, pod wezwaniem *św. Anioła Stróża*, otworzył w r. 1849 na przedmieściu *Vanchiglia*. Trzy te oratorya w niedziele i święta setkami ściągały młodzież z całego Turynu, z wielkim pożytkiem dla nich i miasta.

Kierownikiem wszystkich trzech zakładów był X. Bosko, zatwierdzony na tem stanowisku przez arcybiskupa X. FRANSONI'ego, który go zawsze popierał i od którego wszelkie na ten cel potrzebne ułatwienia i przywileje otrzymał.

W r. 1850, by odszczególnić chłopców zdolniejszych, wybrał z nich najpilniejszych i najlepszych i zaczął ich zaprawiać do nauk klasycznych, dając w ten sposób początek osobnej sekcyi oratoryum, zwanej *studentatem*.

W r. 1851 poświęcił cztery sukienki duchowne dla czterech swoich pierwszych kleryków, po których sobie rokował i którzy istotnie ziścili najpiękniejsze jego nadzieje.

W r. 1852 wzniósł kościół *św. Franciszka Salezego*, poświęcony dnia 20 czerwca tegoż roku z wielką uroczystością.

W tymże czasie z taką gorliwością i wytrwałością słuchał spowiedzi św., że nieraz całemi nocami przesiadywał w konfesyonale. Spowiadania swojej dziatwy nie zaniechał wogóle nigdy przez całe swoje życie, nawet w takim razie, gdy niemal upadał pod ciężarem najróżniejszych codziennych zajęć i spraw, rozrywających jego czas i wyczerpujących jego siły.



X. JAN BOSKO.

Z takim zapałem oddawał się kaznodziejstwu, szczególnie kiedy odprawiał misye lub dawał rekolekcye po wioskach i zakładach dobroczynności, że często miewał 6 do 8 kazań dziennie, spędzając resztę czasu na słuchaniu spowiedzi licznych penitentów, garnących się do jego konfesyonału.

W r. 1853 powiększył o wiele dom główny Oratoryum, a to zaprowadzając tamże różne warsztaty.

W r. 1853 w miesiącu marcu rozpoczął wydawnictwo książeczek miesięcznych, tak zwanych *Letture Cattoliche* (Czytania katolickie), które już przyniosły i dotąd wiele przynoszą dobrego we Włoszech i krajach ościennych.

W r. 1854 wybuchła w Turynie cholera. X. Bosko ofiarował Panu Bogu własne życie w zamian za życie swoich chłopców; pracował gorliwie w szpitalach cholerycznych, posiłkując się w tych usługach miłosiernych swoimi wychowankami, pomiędzy którymi odznaczył się szczególnie Michał RUA, obecnie następca X. Bosko; w tymże roku przyjął wielu chłopców, osieroconych przez straszną zarazę, do swego Oratoryum.

Nie można sobie wyobrazić, jak X. Bosko wśród tylu i tak różnorodnych zajęć zdołał jeszcze napisać cały szereg, i to wielce użytecznych książek: — *Czytania katolickie* — *System metryczny* — *Klucz do raju* — *Młodzieniec zaopatrzony* — *Żywot Alojzego Comollo* — *Historyę św.* — *Historyę kościelną* — *Historyę Włoch* i inne.

W r. 1857 uznając potrzebę stałych pomocników w dziele kształcenia i wychowywania młodzieży, które dotychczas sam był prowadził, ułożył regułę Zgromadzenia salezyańskiego, a w r. 1858 udał się do *Rzymu*, by ją przedłożyć Ojcu św. PIUSOWI IX, który X. Bosko przyjął bardzo łaskawie i odtąd stale popierał wszystkie jego przedsięwzięcia.

W r. 1859 dnia 18 grudnia X. Bosko zwołał pierwszych członków, mających stanowić zawiązek nowego Zgromadzenia na pierwszą *kapitułę*, od którego to dnia i roku datuje się początek *Zgromadzenia salezyańskiego*.

W r. 1861 uderzył do jego pokoju piorun, z czego odniósł znaczne osłabienie wzroku, które odtąd miało mu dolegać przez resztę życia.

W r. 1862 założył pierwszą drukarnię w Oratoryum św. Franciszka Salezego. Po niej założono wiele innych po różnych krajach obydwóch półkuli ziemskich.

W r. 1863 otworzył pierwsze kolegium poza Turynem w *Mirabello* Monferrato (kolegium, które następnie z powodu większej dogodności przeniesiono do *Borgo S. Martino*).

W r. 1864 otworzył drugie kolegium, w *Lanzo*

Torinese; od tego roku zakładanie nowych domów następowało po sobie szybko i w takiej liczbie, że za wieleby nam zajęło miejsca, wymienić je tu wszystkie.

W r. 1865, dnia 27 kwietnia, posiadając zaledwie 40 *centesimi* (= 32 fenygi, czyli 16 centów), rozpoczął budowę kościoła *Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych*, który miał kosztować przeszło milion franków.

W r. 1868 dnia 9 czerwca poświęcił go i oddał na służbę Bożą arcybiskup turyński, X. Aleksander Riccardi, wśród wspaniałych uroczystości.

W r. 1869 zawiązał kanonicznie bractwo Maryi Wspomożycielki.

Już od kilku lat wstecz, a szczególnie od roku 1866, działalność X. Bosko nie rozciągała się jedynie na Turyn i Piemont, lecz zaczęła się rozszerzać na całe Włochy, a niebawem miała objąć świat cały. X. Bosko nie mógł teraz ograniczyć się wyłącznie na gromadzeniu koło siebie i wychowywaniu dziatwy i młodzieży, lecz musiał podjąć wiele innych różnorodnych dzieł dla dobra Kościoła i społeczeństwa, w czem zaczęła mu dopomagać dzielnie młodzież, którą sam sobie był wychował i wykształcił.

W r. 1871 w miesiącu grudniu zapadł w ciężką chorobę w *Varazze*.

Zakonnice Salezyanki, tak zwane *Córki Maryi Wspomożycielki*, zostały zatwierdzone przez Kościół w r. 1872 jako Zgromadzenie.

Reguła *Pobożnego Stowarzyszenia św. Franciszka Salezego*, czyli Zgromadzenia salezyańskiego, została ostatecznie zatwierdzona przez Papieża Piusa IX 3 kwietnia 1874 r.

Pierwszy zakład salezyański poza Włochami otworzono we Francyi w *Nicei* r. 1875.

Myśl, która w tym czasie przez wiele lat zajmowała żywo umysł X. Bosko, było podjęcie dzieła *misyi zagranicznych*. Zwrócił szczególnie swoją uwagę na ludy dzikie *Ameryki Południowej* i na wychodźców europejskich, którzy się tamże byli za zarobkiem udali.

Pierwsza wysyłka misyonarzy salezyańskich nastąpiła dnia 11 listopada 1875 roku.

Druga rzecz, która w tymże samym czasie nadzwyczaj X. Bosko zajmowała, było pielęgnowanie powołań do stanu duchownego, — sprawa, która wówczas w Piemoncie na bardzo wielkie napotykała trudności. W tym celu pomnożył liczbę studentów, w *Oratoryum* nauki klasyczne pobierających, i w r. 1876 założył *Bractwo Maryi Wspomożycielki* (*Opera di Maria Ausiliatrice*), które sobie wzięło za zadanie, ułatwiać młodzieży ubogiej a cnotliwej i zdolnej, chociaż już w dorosłym będącej wieku, dostąpienie stanu duchownego. Studenci tacy zowią się w Zgromadzeniu salezyańskiem *figli di Maria* (synowie P. Maryi Wspomożycielki).

Roku 1875 dekretem z dnia 9 maja został *Związek Pomocników salezyańskich* przez Ojca św. Piusa IX zatwierdzony i nader licznymi uposażony odpustami.

We wrześniu r. 1877 rozpoczęto wydawać „*Wiadomości salezyańskie*" (czyli *Bollettino salesiano*) w języku włoskim

W tymże samym roku 1877 założono pierwszą salezyańską fabrykę papieru w *Mathi Torinese*.

W r. 1878 misyonarze salezyańscy próbowali po raz pierwszy dotrzeć do Patagonii.

W r. 1879 X. Bosko otworzył dom w *San Benigno Canavese*, celem kształcenia zdolnej czeladzi i majstrów.

W r. 1880 założył pierwsze kolegium salezyańskie w Hiszpanii, w mieście *Utrera* w Andaluzyi.

W r. 1881 rozszerzył znacznie *Oratoryum św. Franciszka Salezego*, doprowadzając liczbę wychowanków do tysiąca, która to liczba w takiejże samej wysokości dotychczas się utrzymuje.

W r. 1882 poświęcono kościół *św. Jana Ewangelisty*, który X. Bosko po zwalczeniu różnych przeszkód z podziwienia godną stałością wzniósł opodal zboru protestanckiego, w dzielnicy miasta, kościoła katolickiego nadzwyczaj potrzebującej.

W r. 1883 X. Bosko odbył podróż do *Paryża*, w ciągu której spotykał wszędzie pełne zapału przyjęcie.

W tymże roku 1883 *Patagonia północna i środkowa* zostały przez Stolicę Apostolską wyniesione do godności wikaryatu apostolskiego, a *Patagonia południowa*, *Ziemia Ognista i wyspy malwińskie* otrzymały godność prefektury apostolskiej.

Pierwszym biskupem salezyańskim był X. Jan Cagliero, mianowany Wikarym apostolskim dla Patagonii i konsekrowany na biskupa *Magidy* in partibus infidelium dnia 7 grudnia 1884 r.

Roku 1885 X. Bosko otworzył pierwszy dom salezyański w *Brazylii*.

W r. 1886 udał się do Hiszpanii; niemal cała Barcelona wyległa do *Sarrià* (przedmieścia Barcelony), gdzie był przyjął gościnę.

W r. 1887 otworzył pierwszy dom w Chili, w mieście *Concepcion*.

W tym samym roku założył również pierwszy dom salezyański w *Austryi*, w mieście *Trydencie*.

W r. 1887 w maju poświęcono bazylikę Najsłodszego Serca Jezusowego w *Rzymie*.

We wrześniu tegoż roku otworzono *Seminaryum dla misyi zagranicznych* w *Valsalice* pod Turynem.

W listopadzie wysłano garstkę misyonarzy do Londynu.

Dnia 24 listopada 1887 r. w kościele Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych odbył się *ostatni akt publiczny*, w którym brał udział X. Bosko: po raz ostatni poświęcił i rozdał uroczyście sukienki zakonne swoim nowicyuszom. Jak w roku 1851 pierwszych kleryków, których był w sukienki duchowne oblókł, było czterech (a byli to sami Włosi), tak i tym razem, kiedy je poświęcił po raz ostatni, było ich również czterech: *Francuz, Anglik i dwóch Polaków*. Ostatni nowicyusz, który z jego rąk otrzymał sukienkę duchowną wraz z błogosławieństwem, był Polakiem.

W grudniu tegoż samego roku odpłynęła z Genuy 12-sta wysyłka misyonarzy salezyańskich do *Ekwatoru*; była to już ostatnia wysyłka dokonana za życia X. Bosko.

Dnia 31 stycznia 1888 r. o trzy kwadranse na piątą z rana Najdobrotliwszy Stwórca powołał go do Siebie, aby mu za wszystkie trudy i prace dla

chwały Bożej poniesione, stosowną dać zapłatę. Zwłoki jego spoczywają w *Valsalice* pod Turynem, dokąd je przeniesiono i pogrzebano dnia 6 lutego 1888 r.

Panu Bogu swemu służył tu na ziemi wiernie 72 lat, 5 miesięcy i 15 dni. W tym przeciągu czasu wychował i w części wykształcił setki tysięcy młodzieży, Kościołowi dostarczył przeszło 6000 kapłanów, zyskał blisko 100,000 Pomocników, założył w Europie i Ameryce około 250 zakładów, kaplic świątecznych i stacyi misyjnych, wybudował wiele kościołów i kaplic, a przez swych misyonarzy w *Patagonii i Ziemi Ognistej* ochrzcił do 20,000 pogan.

Zgromadzenie przezeń założone liczy dzisiaj blisko 2000 członków, posiada około 400 różnych swoich zakładów i wychowuje do 300,000 młodzieży.

PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.

Wstęp.

Cel niniejszego dzieła. — Od chrztu św. do święceń kapłańskich. — Urodziny i pierwsze wychowanie X. Bosko. — Sen czy widzenie. — Walki o naukę. — Pierwsze objawy jego posłannictwa w *Becchi*, *Moncucco*, *Castelnuovo* i *Chieri*. W seminaryum i poza niem. — Uwaga znamienna i prorocza.

Kiedy w r. 1880 z polecenia samegoż ks. Bosko rozpocząłem był w miesięczniku *Bollettino Salesiano* pisać dzieje **Oratoryum św. Franciszka Salezego**, nie wspomniałem w nich nic ani o chłopięcych latach świątobliwego męża, ani też o licznych wypadkach zaszłych w ciągu jego życia, jakkolwiek był on twórcą tegoż zakładu i główną w nim osobistością. Powód ówczesnego milczenia pozostaje i teraz jeszcze niezmienny. Moim bowiem celem nie jest kreślić życiorys ks. Bosko, lecz opowiedzieć zdarzenia, jakie dały początek i przyczyniły się do rozwoju jednego z jego zakładów (czyli tak zwanych z cudzoziemska *dzieł*), *kaplicy świątecznej*, która z czasem wzrósłszy w podziwienia godną instytucyą, stała się niemal wypadkiem bieżącym tak dla świata duchownego, jak dla samegoż świeckiego społeczeństwa.

Wierny zatem wytycznemu swemu zadaniu, zaznaczę w niniejszym rozdziale te tylko rysy z młodzieńczych jego lat, które w ks. Bosko dawały poznać męża, przeznaczonego przez Boską Opatrzność na to, by ujął w swoją pieczę doczesne i wieczne dobro młodzieży, zwłaszcza ubogiej i opuszczonej, a przeto na tem większe wystawionej niebezpieczeństwa. Szybko więc przebiegnę ważniejsze wypadki z jego życia od chrztu św. do święceń kapłańskich, przejdę od pastuszka do studenta, od alumna seminaryum do młodego lewity, ozdobionego wieńcem kapłaństwa.

Było to wieczorem dnia 16 sierpnia r. 1815, kiedy w ubogiej chacie, należącej do grupy lepianek, rozrzuconych na niskim pagórku, a stanowiących przysiółek t. zw. *Becchi*, w wiosce *Murialdo*, będącej odłamem gminy i parafii *Castelnuovo d'Asti*, w archidyecezyi turyńskiej, urodził się ks. Bosko. Rodzicami jego byli Franciszek Alojzy Bosko i Małgorzata, z domu Occhiena, poślubiona przez Franciszka po śmierci jego pierwszej żony. Byli to wieśniacy ubodzy co się tyczy dóbr doczesnych, ale za to bogaci we wszelkie cnoty chrześcijańskie. Na stolicy Piotrowej zasiadał wówczas Papież Pius VII; stolica św. Maksyma (arcybiskupstwo turyńskie) była osieroconą przez śmierć Arcybiskupa X. Della Torre, po którym nastąpił w r. 1818 ks. Kolumban Chiaverotti, poprzednio biskup iwrejski. Berło władzy świeckiej piastował król Wiktor Emanuel I., z domu sabaudzkiego.

Na drugi dzień po swojem narodzeniu, dziecię, odrodzone w zdrojach chrztu św., otrzymało imiona Jana i Melchiora, jednakże tylko pierwszem z tych dwóch imion je zwykle nazywano. Zdaniem powszechnem była dziecina piękna i wdzięczna jak anioł. Przyjście Jana na świat w pierwszy dzień oktawy święta **Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny** było niejako zapowiedzią, że Ona go weźmie w szczególniejszą swoją opiekę, on zaś będzie gorącym Jej czcicielem, tak jak niegdyś św. Franciszek Salezy, który również się narodził w ciągu tejże samej oktawy (dnia 21 sierpnia 1567), — zapowiedź, która miała się ziścić w zupełności.

Mając zaledwie 2 lata utracił ojca, matka więc zajęła się wychowaniem tak jego, jak również brata starszego, Józefa, i brata przyrodniego, Antoniego. Zawsze powolny pełnym miłości macierzyńskiej wskazówkom swej

matki, poddawał się również całą duszą natchnieniom łaski Bożej, zaczem poszło, że lubo najmłodszy, był wzorem pobożności i posłuszeństwa dla obydwóch braci starszych.

Podobny w tem do Józefa egipskiego, jak on wybrany przez Niebo, by rządził rzeszą, daleko piękniejsze wszakże rokującą nadzieje, niż ów lud, który wyszedł ze starożytnego Egiptu, miał młodziutki Bosko w 10ym roku życia dziwny sen, który jasno zdawał się wskazywać na przyszłe jego posłannictwo.



Chata, w której się urodził X. Jan Bosko.

Opowiadając go swemu rodzeństwu i sąsiadom, wyrażał się mniej więcej następującemi słowy: „*Wydawało mi się, że się znajduję na łące blisko naszego domu wpośród chmary bawiących się chłopców. Przypatrując im się bliżej, zauważyłem, że wielu z nich zachowywało się nieprzyzwoicie i miotało przekleństwa, czem rozgniewany, chciałem ich skarcić, a to za pomocą kułaków i policzkowania. Wtem zjawił się wśród nas jakiś Mąż, przybrany w biały płaszcz, o twarzy jaśniejącej, a zwróciwszy się do mnie rzekł:* **Nie biciem, lecz miłością i słodyczą masz tych swoich towarzyszy pozyskać dla dobrej sprawy**; *poczem wezwał mnie, bym im powiedział naukę o tem, jak brzydkim jest grzech, a przeciwnie jak piękną jest cnota. Wymawiałem się od tego jak mógłem, powtarzając, że nie potrafię, i zacząłem płakać, lecz On owszem ośmielał mnie, abym się wziął do dzieła, ofiarując mi swoją pomoc.*

Podczas gdym się zabierał, by wypełnić, co mi było zleconem, naraz ukazała się jakaś Pani o majestatycznej postawie i w tejże chwili miejsce chłopców zastąpiło mnóstwo dzikich zwierząt różnego rodzaju. Widząc tę nagłą zmianę stałem jak wryty, wtem owa Pani odezwała się do mnie: **Oto pole, na którem masz pracować. Bądź pokornym, mężnym i wytrwałym, a to, co teraz widzisz, że się dzieje z temi zwierzętami, masz to samo uczynić z moich synów.** *Wtenczas oczom moim przedstawił się nowy widok: zwierzęta zamieniały się w baranki, które skacząc i becząc biegały radośnie na około owego Męża i owej Pani, jak gdyby ich chciały chwalić. Widząc to wszystko nie posiadałem się z radości i przebudziłem się będąc nadzwyczaj ucieszony.*“ *)

W tymże samym czasie a i później jeszcze miewał po kilkakroć podobne sny; w jednym z nich widział nadto, jak niektóre baranki zamieniły się w pasterzy, niosących mu pomoc w paseniu i rządzeniu trzodą.

Czy to był prosty sen czy też widzenie, nie moja rzecz o tem rozstrzygać; to pewna,

---

*) Dnia 31 stycznia r. 1891 pewna staruszka z *Castelnuovo d'Asti*, nazwiskiem Łucya TURCO, licząca przeszło 70 lat, opowiadała Przew. X. Michałowi RUA i mnie w zakrystyi kościoła P. Maryi Wspomożycielki w Turynie, że będąc jeszcze dziewczątkiem, słyszała była ten sen z własnychże ust młodego Jana BOSKO.

że od owego dnia młodziutki Bosko poczuł w sobie żywe pragnienie poświęcenia się stanowi duchownemu, by z tem większym pożytkiem módz dziatwę kształcić i od zguby ratować.

Matka Małgorzata popierała ile mogła te jego zamysły.

Ażeby celu dopiąć, wystawił się chłopiec od razu z niezwykłą jak na swój wiek siłą woli i wytrwałością na wszelkie trudy i przykrości, na żadne nie zważając przeszkody, byle tylko nauczyć się pierwszych zasad gramatyki, a ponieważ ani w *Becchi*, ani w najbliższej wiosce szkoły żadnej nie było, przyszło mu pobierać naukę prywatną u nauczycieli z okolicznych wiosek, najpierw w *Capriglio*, miejscu rodzinnem swej matki, następnie zaś w *Castelnuovo d'Asti*, dokąd miał codziennie kilka mil *) pieszo do chodzenia, często po drogach pełnych błota i trudnych do przebycia.

Nauczywszy się z łatwością dobrze czytać i pisać, chciał był młody Bosko naukę dalej prowadzić i uczęszczać regularnie do jakiej szkoły publicznej; lecz ponieważ tymczasem już był podrósł i mógł się przydać do jakiej takiej pracy i zajęcia w gospodarstwie, jużto pasąc trzodę, jużto uprawiając rolę, zaczął zamiarom jego się sprzeciwiać i najróżniejsze stawiać przeszkody brat jego przyrodni, Antoni, który głośno swe żale przed całą rodziną roztaczając domagał się, ażeby wspólnie z nim pracował w polu. „*Dopókiż będę cierpliwie znosił*, wołał, bywało, rozsierdzony pasierb, *i pozwalał na to, żeby Jan udawał paniczyka, leżąc sobie gdzie w cieniu, lub wysiadując na ławach szkolnych, podczas gdy ze mnie pot się leje strugami, gdy kopię ziemię prażony od słońca?*“

Dla miłego spokoju matka z synem musieli się poddać woli pasierba i jak na teraz zaniechać wszystkiego.

Gwałt ten jednakże moralny sobie zadany nie stłumił bynajmniej w naszym Janie nasienia powołania, danego mu z nieba i złożonego w jego sercu; owszem, przyczynił się tem bardziej do zahartowania go na dalsze walki w ciągu życia i uczynił go tem zdatniejszym do przyszłego jego posłannictwa, gdyż sprawił, że był zawsze skłonnym do litości i skorym do niesienia czułej i troskliwej pomocy tym zwłaszcza ubogim młodzieniaszkom, którzy idąc za głosem powołania, mieli z takiemi jak on potykać się przeciwnościami.

*) 5 mil włoskich wynosi jedną polską milę.

Tak więc nasz przyszły ks. Bosko musiał przez kilka lat z rzędu, stósownie do pory roku, jużto pędzić krowy na pastwisko, jużto uprawiać winnicę, obcinać winograd z wilczków i niepotrzebnych wypustek, to znowu kosić trawę, żąć zboże, wiązać snopy i znosić je do stodoły, młócić i czyścić zboże na bojowisku i wykonywać wiele innych tym podobnych prac, mniej lub więcej odpowiednich jego siłom fizycznym. Lecz zawsze i wszędzie książka była nierozłączną jego towarzyszką. Czy pędził trzodę na pastwisko, lub czy ją pasał, udając się w pole lub zeń powracając, pieszo czy na wozie, zawsze go można było widzieć z książką w ręku. Jeżeli praca była ciężka, a jego towarzysze ją na chwilę przerywali, aby odpocząć i pokrzepić się pokarmem, to i on czynił to samo, lecz zawsze w jednej ręce trzymał kawałek chleba i go spożywał, w drugiej zaś książkę, w której czytał. Wieczorem powróciwszy do domu i posiliwszy się cośkolwiek, podczas gdy inni udali się na spoczynek, on w swojej izdebce przepędzał jeszcze kilka godzin nad książką. Przez jakiś czas udawał się nadto wczesnym porankiem na lekcye do księdza wikarego w *Murialdo*, zadania zaś odrabiał w nocy.

Podziwienia godną była zaprawdę ta walka o naukę, ale długo trwać nie mogła; musiała raz ustać i w samej rzeczy zakończyła się niebawem. Po upływie tych kilku lat, nazrzędziwszy i naskarzywszy się do syta, starszy brat, Antoni, doszedł do pełnoletności. Wtenczas matka Małgorzata, ażeby uniknąć powodów do dalszych rozterek w rodzinie, zażądała i uzyskała od sądu rozdzielenie majątku; poczem odłączyła się od Antoniego wraz z obydwoma swoimi synami, Józefem i Janem. Wtedy dopiero mógł Jan oddać się swobodnie naukom i spełnić to wszystko, co Boska Opatrzność sobie z nim zamierzyła. Ukończywszy w r. 1831 szkołę elementarną w *Castelnuovo*, udał się do miasta *Chieri*, gdzie rozpoczął szkoły wyższe, po ukończeniu których w r. 1835 przywdział sukienkę duchowną i wstąpił do seminaryum.

Zaledwie ustały walki o naukę, spowodowane skargami przyrodniego brata, Antoniego, wraz nastąpiły inne trudności, których przyczyną były skąpe fundusze i wielki brak środków materyalnych. Potrzeba było pieniędzy na zakupno odpowiednich książek, a przedewszystkiem na to, ażeby się módz gdzieś umieścić na stancyi, ale jakże się wziąć do tego, kiedy rodzinie samej nieledwie brakowało środków do życia? Aliści dowiedziały się o tem niektóre dobroczynne

osoby, między innemi czcigodny proboszcz z *Castelnuovo*, i ułożywszy się między sobą zbierały miesięcznie drobną składkę, czem dopomogły matce Małgorzacie w zaspokojeniu najpilniejszych wydatków. O resztę postarał się sam chłopiec przez swoją pilność i zaradność, nie wahając się spełniać choćby najniższych posług w domu, gdzie był na stancyi, udzielając lekcyi w domach prywatnych, lub też otrzymując nagrody za pilność i wzorowe sprawowanie się. To wszystko jednakże i wiele innych jeszcze rzeczy, które mógłbym nadmienić, pomijam milczeniem, a natomiast opowiem coś o pierwszych objawach przyszłego jego posłannictwa.

Czy to jako pastuszek, czy jako student lub alumn seminaryum, odznaczał się Jan Bosko zawsze nadzwyczajną gorliwością i okazywał szczególniejszą zdolność w pociąganiu do dobrego dziatwy i młodzieży. Chłopcem jeszcze będąc zbierał u siebie w dni świąteczne młodzież i osoby starsze, ile tylko ich mogło się pomieścić na podwórku przed małą chatą w *Becchi* i prawił im kazania.

Ażeby zaś sobie jak najwięcej pozyskać małych i dużych słuchaczy, zaczynał zwykle od tego, że starał się nasamprzód przykuć ich uwagę za pomocą różnych gier i zabaw. Bystry dostrzegacz i zdolny naśladowca wszystkiego co widział u drugich, chodząc z matką tu i owdzie na targ i jarmarki, nauczył się był od wędrownych kuglarzy i linoskoczków różnych figli i sztuczek, jak n. p. skoków karkołomnych, chodzenia po linie i t. p. W niedziele i święta poczynał zatem także u siebie podobną zabawę, a skoro widział, że młodzież była już należycie rozochoconą, przerywał nagle przedstawienie i zanim je na nowo podjął, opowiedział wpierw zgromadzonym widzom i słuchaczom jaki budujący przykład, który bądź wyczytał był w książce, bądź też usłyszał na kazaniu, wpajał potrzebę pełnienia cnót, a unikania wszelkich występków; niekiedy kazał odmówić różaniec, śpiewać litanię lub jaką pieśń do Matki Boskiej. Poczem zabawa rozpoczynała się na nowo. W ten sposób nie dopuszczał, iżby mieszkańcy jego wioski, a zwłaszcza młodzież z sąsiedztwa, traciła czas na próżnych gadaninach lub, co gorsza, udawała się na niebezpieczne schadzki, i ułatwiał im spędzanie dnia świątecznego w świętem weselu i bojaźni Bożej.



Małgorzata Bosko.

W czasie gdy Małgorzata wchodziła w układy i wszelkich dokładała starań o podział majątku (o czem mówiliśmy powyżej), pragnąc jak Rebeka ze starego Zakonu, ochronić swego syna przed zawziętością starszego brata, posłała Jana na służbę do pewnej porządnej rodziny, nazwiskiem Moglia, blisko *Moncucco*, pomiędzy *Castelnuovo* a *Chieri*. Tam również pobożny chłopiec dał wymowne dowody szczególnej swojej zręczności w nauczaniu i prowadzeniu młodzieży. Syn jego pracodawcy, nazwiskiem Jerzy MOGLIA, żyjący dotychczas, opowiada, iż młody Bosko w dni świąteczne i przy innej jakiej sposobności, jak n. p. w czasie słoty, zgromadzał chłopców z całego domu pod szopą i wstąpiwszy na kupę siana wykładał im katechizm, opowiadał różne budujące przykłady, odmawiał z nimi modlitwy i t. p., zamieniając tak owe miejsce w rodzaj małego oratoryum. Dziećmi opiekował się z taką troskliwością, że ojcowie i matki rodzin, mając się gdzie wydalić z domu, na wyścigi mu je oddawali w opiekę, będąc przekonanymi, iż je strzedz będzie od wszel-

kiego niebezpieczeństwa tak co do ciała jako i duszy.

Tenże Moglia dodaje, że Jan już wtenczas tak dalece był delikatnym, co się tyczy dobrych obyczajów, że zwykł był mawiać do swej gospodyni: „*Chłopców możecie powierzyć mej opiece ilu tylko chcecie, lecz dziewczęta oddawajcie w opiekę komu innemu.*“

W *Castelnuovo d'Asti*, miasteczku rodzinnem, kiedy jeszcze uczęszczał do szkoły elementarnej, miłowali go dla jego ujmującej grzeczności, a przedewszystkiem dla niezwykłych jego cnót, wszyscy towarzysze. Umiał ich zawsze zabawić to niewinnymi figlami, to znów różnemi a zawsze przyzwoitemi zabawami, pouczał za pomocą zajmujących powiastek, udzielał im dobrych rad i zachęcał do dobrego, chronił od zabaw nieskromnych lub choćby tylko nieodpowiednich, odwodził ich od złego, — to też nie dziw, że wszyscy byli mu powolni i starali mu się jak mogli przypodobać *). Gdy razu pewnego namawiał go ktoś, by przywłaszczył sobie pieniędzy na jakąś grę, odpowiedział kusicielowi: „*W przykazaniach Boskich napisane jest: Siódme nie kradnij;*“ — i nietylko, że nie poszedł za niecną namową, ale przemówił do jego serca i przywiódł zbłąkanego do upamiętania.

W mieście *Chieri* wielu ze starszych obywateli zachowuje dotąd jeszcze w żywej pamięci, z jaką gorliwością młody Bosko starał się o dobro duszne młodzieży. Niektórzy z nich, świadkowie naoczni, zapewniali mnie, że był nadzwyczaj lubianym od towarzyszy, a gdy wychodził gdzie z domu, to go otaczało liczne grono chłopców. Między innymi opowiadali mi dwaj jego dawni koledzy, ks. kanonik Józef Caselle i ks. Feliks Vay, że niektórzy chłopcy rodem z *Chieri*, wspólnie z wielu studentami umieszczonymi w tem mieście od rodziców na stancyi, ile razy był czas piękny a pora roku po temu, zgromadzali się codziennie o pewnej godzinie pod wieczór przy moście na strudze *Poron* niedaleko szpitala i czekali z upragnieniem, aż młody Bosko wyjdzie z pobliskiego domu.

---

*) X. Jan Lemoyne w *Życiu Małgorzaty Bosko* tak opisuje zabawy w *Becchi*: Wszyscy chłopcy z okolicy całej lgnęli całem sercem do Jasia, pociągani do niego jakąś niewidzialną siłą. Tak bardzo go kochali, iż gdy powstały pomiędzy nimi kłótnie i zwady jakiegokolwiek rodzaju, wybierali go zawsze na rozjemcę poważnionych, i każdy potem chętnie godził się na jego wyrok.

Co zaś najwięcej pozyskiwało mu ich serca, to jego opowiadania wymowne. Przykłady, słyszane na kazaniach i na katechizmach, dostarczały mu do nich obfitego wątku. Skoro go tedy ujrzeli, biegli do niego gromadnie i domagali się, aby im wyjaśnił rzecz jakąkolwiek dziwną, gdyż Jaś chodził tylko pięć miesięcy do szkoły w *Capriolo* i umiał zaledwie czytać.

W czasie zimowym wszyscy chcieli mieć go na prządkach, aby słyszeć z ust jego piękne powiastki. Tam się zbierali licznie młodzi i starzy, a w pierwszym rzędzie dzieci, i wszyscy słuchali go nieruchomie nieraz i pięć i sześć godzin jednym ciągiem, a on mówił stojąc na ławce, ażeby tem łatwiej od wszystkich był słyszany i widziany. Jako przed i po kazaniu żegnają się i odmawiają we Włoszech *Zdrowaś Maryo*, tak samo czyniono przed zaczęciem i po ukończeniu opowiadania małego kaznodziei.

W czasie zaś letnim, osobliwie we dni świąteczne, zbierała się około Jasia młodzież ze sąsiedztwa a nawet i z okolicy. Zabawiał ich wtedy sztuczkami, wyuczywszy się takowych od skoczków i kuglarzy, których widywał na jarmarkach w pobliskich miasteczkach. Po wielokrotnych doświadczeniach i próbach nabył on w tem wielkiej wprawy, o czem możemy powziąć wyobrażenie z następującego wypadku.

W *Becchi* jest łąka, na której onego czasu rosły niektóre drzewa, a pomiędzy innemi jedna grusza. Do tej gruszy przywiązywał Jaś sznur, a przyciągnąwszy go potem do drzewa stojącego opodal, wyprężał go w powietrzu; dalej przygotowywał stoliczek i kładł na nim worek; wreszcie stawiał krzesło i rozścielał na ziemi kobierczyk do wyprawiania na nim skoków. A kiedy już wszystko było w pogotowiu i tłum ludzi w oczekiwaniu ciekawem stał na około, tedy wzywał wszystkich do odmawiania trzeciej części Różańca, którą zakończano jaką pieśnią pobożną. Po tem wszystkiem wyskakiwał na krzesło i odzywał się w te słowa: — *Teraz posłuchajcie kazania, które dzisiaj rano wygłosił X. wikary w Murialdo.*

Niektórzy wtedy stroili figle i okazywali niecierpliwość, inni mruczeli sobie półgłosem, iż nie przyszli na kazanie, ale na sztuki, a wreszcie inni zabierali się do odejścia. Jaś stał na stołku, jakby król na tronie i rozkazywał tak śmiało, iż mógł zniewolić do posłuchu nawet starców sześćdziesięcioletnich. — *Idźcie sobie tedy*, wołał, *wy, coście niecierpliwi, a wiem iż zaraz się wrócicie, skoro rozpocznę sztuki, ale powiadam wam, iż już was tutaj nie przypuszczę.* — Na tę groźbę zabierali się do słuchania, zaś Jaś rozpoczynał kazanie, a raczej powtarzał wykład ewangelii słyszany na rannem nabożeństwie w kościele, albo też opowiadał wypadki lub przykłady słyszane, lub wyczytane z jakiej książki. Od czasu do czasu słuchacze wydawali okrzyk: *Mówi dobrze*, *ma słuszność.* — Po skończonem kazaniu odmawiano krótkie modlitwy i natychmiast zaczynały się sztuki. Mówca stawał się od razu kuglarzem zawołanym. Robił młynka, latał motyla, czynił skoki gwałtowne; potem przewiesiwszy worek przed siebie połykał pieniądze, które zaraz wydobywał z nozdrzy, pomnażał kule, jaja; przemieniał wodę we wino, zabijał i krajał w kawałki koguta, a następnie wskrzeszał go i kazał mu śpiewać jeszcze głośniej, aniżeli pierwej śpiewał. Wreszcie chodził po linie, jakby po ścieżce, podskakiwał, tańcował, wieszał się raz jedną, a potem drugą nogą; a gdy po kilku godzinach takiej zabawy ze zmierzchem nocnym kończył mały skoczek znużony swoje sztuki, odmawiano krótką modlitewkę i wszyscy rozchodzili się do domów swoich. — Od tych zebrań byli wykluczeni ci, co lubili bluźnić, prowadzić gorszące rozmowy, albo co nie chcieli chodzić do kościoła.

Ukończywszy pracę u gospodarza, u którego stał na stancyi, wychodził wtedy do nich Jan Bosko, przyjmowany za każdym razem z żywą radością i opowiadał im historyjek bez liku, co jedna to piękniejsza od drugiej, lecz zawsze na tle ściśle religijnem i obyczajowem.

W niedzielę zaś, skoro tylko posłyszał znak dany z wieży kościoła parafialnego na rozpoczęcie nauki katechizmu, udawał się tamże skwapliwie, zabierając ze sobą po ulicach i na rynku ilu tylko napotkał chłopców, i



.... zawsze go można było widzieć z książką w ręku (str. 15).

otoczony liczną ich gromadą, wprowadzał wszystkich do kościoła. Po domach prywatnych, gdzie udzielał korepetycyi, był dla swego postępowania z dziećmi pełnego powagi, połączonej z niewyczerpaną łagodnością, tak dalece powszechnie czczony i poważany, że ile razy rodzice chcieli dziatki swe poskromić, potrzebowali im tylko pogrozić: *jeśli się będziecie sprawować niegrzecznie, to powiemy to Jankowi*, a słowa te wystarczały, ażeby uspokoić i przyprowadzić do posłuszeństwa najbardziej niesforną dziatwę; — wszyscy bowiem ubiegali się o to, aby świątobliwy młodzieniaszek, wstąpiwszy do ich domu, mógł być z nich zadowolonym.

Co więcej: taką pałał gorliwością o zbawienie dusz, iż zawiązał przyjaźń z pewnym chłopcem żydowskim, nazwiskiem Jonasz. Pozyskawszy sobie jego serce, umiał go tak dobrze pouczyć w rzeczach naszej prawdziwej Wiary św. i taką przejąć miłością ku religii chrześcijańskiej, iż tenże po niejakim czasie zapragnął sam i otrzymał chrzest św. W kilka lat potem nawrócony żyd przeniósł się do wieczności, przygotowawszy się poprzednio jak najlepiej na śmierć. — Jan Bosko uczynił jeszcze więcej. Niczego tak gorąco nie pragnąc, jak dobra dusznego swoich współuczniów i towarzyszy, razu pewnego miał tę niezwykłą odwagę, iż poszedł o lepszą z pewnym kuglarzem, świeżo przybyłym do *Chieri*, by tamże dawać przedstawienia, czem wielu ze starszych i prawie wszystką młodzież odwodził od nabożeństwa, a pokonawszy go w łamanych sztukach, zmusił temsamem kuglarza do zaniechania przedstawień i opuszczenia miasta *).

---

*) X. Janssen, w dziełku o X. Bosko, w następujący sposób powyższe zajście opisuje (zob. Johann Janssen, *Don Bosko und das Oratorium von hl. Franz von Sales*, str. 13 nast.):

Pewnego razu przybył do *Chieri*, tak jak to i po naszych miasteczkach i wioskach często się przytrafia, linoskoczek, aby tam na placu w pobliżu kościoła pokazywać różne łamane sztuki i skoki. Przedstawienia rozpoczynał jeszcze przed nabożeństwem i ażeby tem większe wzbudzić zajęcie wśród licznie otaczającej go gawiedzi, po każdym wywiniętym

Ten sam duch gorliwości, który go ożywiał kiedy był jeszcze pastuszkiem i uczniem szkół gimnazyalnych, nie opuszczał go ani na chwilę, owszem wzmógł się i spotężniał w nim, odkąd w r. 1835 wstąpił do seminaryum duchownego w *Chieri*, a jego błogi wpływ sięgał daleko po za obręb seminaryjskich murów (od r. 1835 do 1841). Żyje jeszcze kilkoro z byłych uczniów ks. Bosko (*piszemy niniejsze słowa w r.* 1890), co więcej, żyje dotąd jeden z jego dawniejszych przełożonych i profesorów, Monsignore Jan APPENDINI z *Villastellone*, a wszyscy ci zgodnie poświadczają, że Jan Bosko, jako kleryk, był wzorem seminarzysty, umiał zwłaszcza jak nikt wyświadczać najróżniejsze przysługi i wywierać zbawienny wpływ na swoich towarzyszy. Przestawał zazwyczaj z najprzykładniejszymi i najpobożniejszymi, krom tego wszakże miał dla każdego z kolegów gotowe jakieś słowo uprzejme, tak iż wszyscy byli niejako zmuszeni go polubić. Opiekował się słabszymi, pomagał w naukach mniej zdolnym, w jakiejkolwiek potrzebie każdemu ofiarował się z pomocą. Nikomu nie odmówił, gdy się do niego udał o jaką koleżeńską przysługę, robił im birety, narządzał sutanny, golił ich brody. Był serdecznym przyjacielem Alojzego COMOLLO, zmarłego w seminaryum w opinii świętości, i pielęgnował go w przeciągu ostatniej jego choroby z taką miłością i poświęceniem, że własny ojciec lub matka nie mogliby byli tego uczynić z większą pieczołowitością. Po jego śmierci napisał śliczny jego życiorys, który przyniósł już, i obecnie wielu jeszcze niemały przynosi pożytek.

Ażeby na swoich współuczniów tem skuteczniej módz oddziaływać, założył dla nich z wiedzą i wolą Przełożonych t. z. *akademię*, czyli wieczorki literackie, które biorącym w nich udział wiele przyniosły dobrego. Na zebraniach tych raz ten to znów ów z kleryków miał odczyt na temat poprzednio wyznaczony, Bosko zaś, lub inni, robili skromnie doń uwagi, z czego każdy wiele odnosił pożytku. Pewnego jednak razu któryś z członków był tyle nieroztropnym, iż czytał wypracowanie, które zakrawało na romans, a w każdym razie mocno trąciło światowością. Tego nie zniósł Bosko w milczeniu, lecz pragnąc natychmiast zatrzeć dane zgorszenie, powstał i kolegę poważnemi zgromił słowami.

---

młyńcu i pokazanej kuglarskiej sztuce wołał do widzów: „*Kto z was potrafi to samo?*" Wielu nietylko z młodszych, lecz także dorosłych, dało się skusić owemi sztuczkami tak dalece, iż na nabożeństwo częścią się spóźniali, częścią nawet całkiem zaprzestali chodzić. Młodemu Janowi Bosko sprawiało to zaniedbywanie służby Bożej wielką przykrość i chociaż liczył wtenczas dopiero 15 lat życia, zaczął przemyśliwać nad tem, w jakiby sposób można złemu zaradzić.

W następną niedzielę przystąpił do linoskoczka i rzekł doń rezolutnie: „*Założę się z wami o marenga* (= złota 20 frankówka, wartości 16 marek), *że lepiej to potrafię od was.*" „*Malcze jakiś, a skąd ty możesz mieć tyle pieniędzy?*" odpowiedział kuglarz, mierząc chłopca pogardliwym wzrokiem. Na tym punkcie się nie mylił, gdyż młody Bosko sumy takiej istotnie nie posiadał, jeden jednakże ze znajomych widzów przyszedł mu w pomoc i złożył za niego zakładową kwotę. Zaczem rozpoczęły się zapasy. Kuglarz wykonał swoją sztuczkę z zadziwiającą wprawą, nasz Jan jednakże powtórzył ją z taką zwinnością, że przypatrujący się lud jednogłośnie przyznał mu wygraną. Bosko wygrał więc zakład. Nie zadowolnił się jednak bynajmniej otrzymanym zyskiem, gdyż całkiem inny był cel, który sobie zamierzył. Lecz i linoskoczek, który doznawszy porażki we własnym zawodzie i to jeszcze w zapasach z młodym chłopcem, nie chciał na tej jednej poprzestać próbie. Ażeby więc odzyskać tak przegrane pieniądze, jak również zwichniętą sławę kuglarską, zawołał do młodego zwycięzcy: „*Założę się o 2 marengi* (=40 franków w złocie), *że nie powtórzysz tego, co ja teraz pokażę.*" Chłopiec przyjął powtórny zakład, dodał jednakże: „*Jeżeli przegram, to 40 franków niech będą wasze, jeżeli zaś wygram, w takim razie opuścicie nasze miasteczko.*"

Żądanie to wydawało się linoskoczkowi dziwaczne i za daleko idące, lecz rozochocony tłum nalegał, by ten warunek przyjął, dodając szyderczo: „*Jeżeliście rzeczywiście tacy pewni swojego, to przyjmijcież ten zakład!*" Zgodził się zatem ostatecznie, przekonany będąc, że na pewno pokona młodego współzawodnika. Pewny zwycięstwa przystąpił do wysokiego drąga, który był na placu wystawiony, i zawołał: « *Niech i tak będzie! Spróbujemy teraz, kto z nas dwóch najwyżej się wdrapie.* »

Zaledwie to wypowiedział, zaczął się wspinać na słup i po małej chwili znalazł się na jego wierzchołku. Poczem, wyciągając w górę rękę, zawołał z tryumfującą miną do naszego Jana: „*Patrz, malcze! tak wysoko jak ja ty z pewnością nie sięgniesz, gdyż nie masz tak długiej ręki!*" I pewien wygranej i uśmiechnięty spuścił się spiesznie na dół. Widzowie nieledwie z litością patrzeli teraz na chłopca, który pomimo wszystkiego nie chciał się dać odstraszyć i postanowił dokazać sztuki, przez nich wszystkich uznanej za niepodobną. Wcale zręcznie i prędko wdrapał się na słup i wydostał się na jego wierzchołek. Wtedy oczy wszystkich widzów zwróciły się ku niemu i z natężoną uwagą śledziły wszystkie jego obroty. Bo też cóż on zamierza robić? Zdjął wieniec, jaki się znajdował na szczycie drąga, włożył go sobie na głowę, głowę w ten sposób uwieńczoną położył na wierzchołku słupa i wyciągnął nogi wysoko w powietrze, trzymając się drąga oburącz. W ten sposób o całą długość swego ciała przedłużył wysokość słupa i wśród oklasków nie posiadającego się z radości tłumu osiągnął wysokość, przewyższającą o wiele tę, którą w powietrzu ręką był zakreślił przedwcześnie tryumfujący kuglarz.

Tenże chcąc nie chcąc musiał się uznać za pokonanego i stosownie do danego przyrzeczenia opuścił natychmiast miasteczko, uwolnione w tak szczęśliwy sposób przez zabiegi i zręczność młodego Jana Bosko i od pokus i od kusiciela.

Zdarzenie to podał do mojej wiadomości czcigodny ks. Michał Chiantore, proboszcz w *Avuglione*, kolega szkolny ks. Bosko, który również brał był udział w wieczorkach, o których mowa.

Działalność Jana Bosko jako alumna nie ograniczała się wszakże jedynie na seminaryum, lecz sięgała nieraz daleko po za jego mury. Czwartek i inne dni wolne przepędzał po większej części w parlatoryum, gdzie go odwiedzało wielu znajomych chłopców z miasta. Nawet w tem miejscu, przeznaczonem zazwyczaj na lekką rozmowę, nie tracił daremnie czasu, gdyż jużto powtarzał z nimi to, czego się byli uczyli w szkole, jużto tłómaczył co było na nowo zadane, albo też uczył jak przygotować i poprawiać piśmienne prace, lecz zawsze i wszystko w tej myśli, by podsunąć im coś takiego, coby przyniosło korzyść dla ich duszy, coby ich oddaliło od grzechu a nakłaniało do prowadzenia życia cnotliwego.

Wakacye jesienne, chociaż były bardzo długie, (trwały bowiem od ostatnich dni czerwca aż do końca października), nie mijały bynajmniej dla naszego Jana, a przez niego dla bardzo wielu dusz, bezowocnie. Przepędzał je przez kilka lat z rzędu jako korepetytor w *Montaldo Torinese*, gdzie OO. Jezuici mieli dom wiejski dla swych wychowanków, dopomagając w dozorowaniu młodzieży i nauczaniu języka greckiego. Jeżeli zaś spędzał wakacye na łonie swej rodziny w *Becchi*, to był tam prawą, rzec można, ręką księdza wikarego z *Murialdo*, jak również ks. proboszcza z *Castelnuovo*, którzy chętnie jego pomoc przyjmowali czy to przy obsługiwaniu kościoła, czy też ile razy trzeba było dozorować młódź, lub wykładać dzieciom katechizm. Tym ostatnim największą sprawiało radość, gdy mogli go widzieć, z nim razem przebywać, jemu towarzyszyć kiedy przechodził przez wieś, a zwykle otaczali go całemi gromadami. W dni świąteczne po obiedzie i w godzinach wolnych od nabożeństwa, chata jego w *Becchi* stawała się punktem zbornym dla osób z sąsiedztwa, szczególnie dla chłopców. Jako kleryk nie mogąc już pokazywać sztuk łamanych i figli, od których się nie wymawiał, kiedy był jeszcze świeckim, ograniczał się Bosko na opowiadaniu zebranym wesołych jakich powiastek i zajmujących zdarzeń, poczem wykładał mniej pojętnym katechizm, lub też uczył ich czytać i śpiewać po łacinie nieszpory i t. p. rzeczy. Znajdował nadto wielką przyjemność w kierowaniu zabawami dzieci na swojem podwórku: uczył ich chodzić na szczudłach i t. p., jednem słowem, jak się zabawiać skromnie i przyzwoicie; w końcu wysyłał ich do domu.

Przełożeni Seminaryum znali bardzo dobrze cnotliwe jego życie, a zwłaszcza gorliwość o chwałę Bożą i zbawienie dusz bliźnich, dlatego też nadzwyczaj go cenili. Łaskawości Najprzew. ks. biskupa Jana Bertagna, rektora Seminaryum duchownego w Turynie, zawdzięczam, iż mógłem się o tem przekonać dowodnie. W archiwach seminaryum turyńskiego zachowuje się dotąd spis alumnów byłego seminaryum w *Chieri;* w spisie tym, obok nazwiska każdego alumna znajduje się zazwyczaj charakterystyka, wyrażająca jego pochwałę lub naganę w krótkich, lecz treściwych słowach. Otóż w rzeczonem album przy nazwisku kleryka Jana Bosko jest napisane: *zelante e di buona riuscita*, uwaga, która w naszym języku znaczy: *gorliwy i z dobrymi postępami*, jak również: *gorliwy i piękne rokujący nadzieje.* Słowa te w swojem pierwszem znaczeniu, o ile dotyczą przeszłości i teraźniejszości naszego młodego alumna, potwierdzają tylko, co o nim już wiemy; w drugiem wzięte znaczeniu i odniesione do jego przyszłości, są istną przepowiednią: odtąd bowiem gorliwość Jana Bosko była żarliwością prawdziwego apostoła, a życie jego życiem świętego.

Wiele jeszcze innych rzeczy miałbym do nadmienienia o młodzieńczych latach ks. Bosko, wstrzymuję się jednakże z tem i pozostawiam jego biografowi, by w swoim czasie opowiedział resztę. To, com nadmienił w rozdziale wstępnym, wystarczy, aby czytelnicy zdali sobie sprawę, jak za zrządzeniem Opatrzności Boskiej młody Jan Bosko przygotowywał się stopniowo do chwalebnego swego posłannictwa, jako anioł opiekuńczy młodzieży, którym się stał w rzeczywistości, jakto o tem będzie mowa w następujących rozdziałach.

(Dalszy ciąg nastąpi).



O Salezyanach.

REFERAT

X. BRONISŁAWA MARKIEWICZA,

czytany dnia 6go lipca 1893 roku

na wiecu katolickim

w Krakowie.



NAUCZA Papież Leon XIII w swoim okólniku **Inscrutabili Dei consilio:** „*Tylko Kościół i jego prawdy zdolne są utworzyć i zachować społeczeństwo oświecone i uczciwe; tylko Kościół zdolen jest zbawić ludzkość doczeŚnie i wiecznie.*“ Na to dowodem historya powszechna. Słowo Boże, głoszone przez Kościół św., odmieniło oblicze i postać ziemi do niepoznania, na lepsze. Nie wystarczy umiejętność świecka, choćby najświetniejsza, aby utworzyć społeczeństwo obyczajne i szczęśliwe. Ateny i Rzym przed powstaniem chrześcijaństwa były stolicami mądrości ludzkiej; a kto nie zna zepsucia, jakie tam panowało? Któż nie zna przemocy okrutnej możnych przeciw słabszym, panów przeciw sługom, zwycięzców przeciw zwyciężonym, a nawet rodziców przeciw dzieciom? Nietylko prostacy tych stolic, ale i mędrcy ich pełni zepsucia. O nich daje świadectwo Pismo Boże przez usta św. Pawła (do Rzym. I, 29.): „*Napełnieni wszelakiej niesprawiedliwości i złości, zdrady, złorzeczeństwa, złośliwości, łakomstwa, swarni... bez miłości przyrodzonej, nieprzejednani, niemiłosierni, potwarce, pyszne, znikczemnieli w myślach swoich i zaćmione jest serce ich.*“ Do tego zaś przekształcenia i przeobrażenia ziemi na lepsze przyczynia się Kościół św. we walny sposób, przeważnie przez to, iż prawie w każdym wieku wysyła odpowiednio do czasu osobne zastępy robotników do winnicy Pańskiej. Tak i obecnie wysłał pomiędzy innemi Zgromadzenie Salezyanów, które nie mało przyczynia się do rozwiązania pomyślnego kwestyi socyalnej dzisiejszych czasów. I u nas w Polsce znajdzie obszerne pole do działania.

I. I tak, mimo zaprowadzony od dawna przymus szkolny, są u nas dzieci bądź rodziców pozbawione, bądź od nich zaniedbane, co nie chodzą ani do szkoły, ani na katechizm, a jeśli nań kiedy chodziły, to dzisiaj już go zapomniały; nie chodzą na naukę do szkoły ani do kościoła, bo nikt ich nie posyła albo nie czuwa należycie, aby tam szły; nie idą do szkoły ani do kościoła, bo muszą pracować albo żebrać. Biedne dzieci! Trzeba zapłakać z Prorokiem: „*Pragnęły dziatki chleba, a niebyło ktoby im ułomił.*“ Co z nich będzie?... Może będą mieszkańcami więzień, a może i piekła. Powie kto na to: Od tego są proboszczowie, aby je uczyli. — Tak jest; mamy proboszczów i kapłanów bardzo zacnych i gorliwych, na polskiej ziemi szczególnie, ale proszę mi powiedzieć: do której parafii ten chłopiec lub młodzieniec należy, który dnia jednego sypia na plantach pod Kapucynami, a drugiego znowu obok dworca kolei żelaznej, a trzeciego dnia na Kaźmierzu, a czwartego zaś na hyclowskiej górce?... Któryż proboszcz zna te ptaszki wędrowne i ma je na sumieniu, zwłaszcza że prawie wszyscy pochodzą ze wsi okolicznych, albo ze stron odległych, a przybyli do Krakowa tylko celem zarobku, albo celem znalezienia sposobu życia?.... Albo weźmy młodzież lepszą, której rodzice mieszkają parę miesięcy w parafii Wszystkich Świętych, kilka miesięcy na Kleparzu, a resztę roku na Podgórzu lub Zwierzyńcu; wszak wiadomo, że znaczna część ludności niezamożnej często w roku zmienia mieszkania. Choćby tedy proboszczowie byli najgorliwszymi pasterzami, to w obec częstych wędrówek i przesiedleń rodzin ubogich, nie mogą znać wszystkich ludzi, mieszkających chwilowo w ich parafii, a następnie mieć o nich starania. A tem mniej dzieci takich rodzin znają proboszczów. Owóż po większych miastach czuć potrzebę pewnego rodzaju duchownych, którzyby przyciągali do siebie młodzież, nie mogącą wyrobić sobie stałej parafii, a następnie zaufania do kapłanów, zajmujących się duszpasterstwem. Aby bowiem nabyć zaufania do kogoś, na to potrzeba stosunków z nim trwających przez czasy dłuższe.

Takimi duchownymi, pomagającymi duszpasterzom po wielkich miastach, bywają często Salezyanie. U nich gromadzi się w niedzielę i dni świąteczne młodzież od świtu do późnej nocy, zabawiając się na dziedzińcu, lub na ogrodzie przyległym do kaplicy. Właśnie te zabawy przed nabożeństwem i po nabożeństwie, są magnesem ściągającym i zatrzymującym na katechizmie, nauce, na Mszy i na nieszporach. One oraz są ochroną przed zabawami niestósownemi, na jakie byłaby narażona młodzież, zeszedłszy z oczu starszych. Dobre są tedy te zabawy odbywane pod okiem Salezyanów. Małe łotrzyki poszły-

by może poza mury miasta, i tam z pewnością opuściłyby nabożeństwo, a nie nauczyłyby się tam niczego. Tymczasem zwabieni zabawą, nietylko słuchają Mszy św., ale nadto nauki i katechizacyi do nich zastósowanej, a do tego w towarzystwie miłych rówienników, a pod okiem czujnych zakonników, którzy społem z młodzieżą biegają i bawią się. Przełożony, a oraz towarzysz biegania i zabaw, ma wpływ na młodzież niewypowiedziany. Pod kierunkiem tego rodzaju przełożonych odbywa się z łatwością każde ćwiczenie religijne, a nawet i spowiedź. I któryż proboszcz znajdzie we święta tyle czasu, a zwłaszcza proboszcz miejski, aby mógł bawić się z młodzieżą i uczyć ją we wolnych chwilach od nabożeństwa? Na to potrzeba ludzi osobnych. A właśnie to czynią Salezyanie z młodzieżą męską, a Salezyanki, tak zwane **Córki Maryi Wspomożycielki**, z młodzieżą żeńską, spełniając tym sposobem polecenie Ojca św. wystosowane do wszystkich duchownych w wyż wspomnianym okólniku: ,,*Siejcie ręką szczodrą ziarno słowa Bożego, od młodocianego wieku zacząwszy, aby zapuściło głęboko korzenie; im więcej źli wytężają siły, aby je psuć.*" Albowiem jaka młodzież, taka będzie najbliższa przyszłość. Sieją tedy Salezyanie na roli niedostępnej właściwym pasterzom, i to na takiej roli, skąd zwykle rozchodzą się chwasty, burzany i osty na resztę pola uprawnego, dostępnego ogółowi. Uderzają tedy w samo sedno rany i choroby niebezpiecznej, która trawi dzisiejsze społeczeństwo. Żyjemy w epoce powstawania wielkich miast, istnych Babilonii. Na nowe złe potrzeba nowych środków. A właśnie Salezyanie je przynoszą.

II. Na tem nie dosyć. Albowiem gdy widzą Salezyanie, że ich wpływy, dopiero co wspomniane, nie wystarczają niektórym dzieciom, aby je zachować w niewinności, biorą często takowe do swoich domów i zakładów na stałe mieszkanie, je utrzymują i wychowują na dobrych synów Kościoła i na obywateli pożytecznych społeczeństwu. Trzeba przyjść koniecznie w pomoc ubogiej braci we wychowaniu ich dzieci, małżeństwo bowiem jest nie tylko dla zamożnych: jest ono i dla ubogich. Często robotnik, w nadziei takiej pomocy, zawiera związek małżeński i prowadzi życie chrześcijańskie. Salezyanie tedy są w tym wypadku pośrednikami między ubogim i bogatym. Do ubogich mówią: ,,*dajcie nam jedną część waszych dzieci a wychowamy je wam na pociechę, Bogu na chwałę a ludziom na pożytek:*" a zaś do zamożnych mówią: ,,*Co wam zbywa, dajcie ubogim*" pod grozą utraty zbawienia wiecznego i pod grozą sprowadzenia nieszczęść na ojczyznę drogą i na głowy wasze; dajcie nam jałmużnę, a my ją pracą naszą i pracą wychowanków naszych pomnożymy we dwójnasób i oddamy wam za to zastęp współobywateli pożytecznych. Dopiero od lat niewielu ten głos wzywający słychać, a już w 4 częściach świata wzniosły się okazałe domy wychowawcze ubogiej młodzieży, będące pod opieką Salezyanów, z których wyszli poczciwi rolnicy, rzemieślnicy, przemysłowcy, urzędnicy, lekarze, prawnicy i tysiące kapłanów i misyonarzy. W zakładach tych bowiem uczą młodzież stosownie do zdolności i powołania od Stwórcy danego: rolnictwa, rzemiosł, przemysłu, przedmiotów objętych planem szkół średnich, filozofii i teologii. Salezyanie mają nietylko własne warsztaty i fabryki, ale i szkoły, zacząwszy od ochronki małych dzieci aż do teologii. Czemże byłyby te dzieci, gdyby dobroczynna ręka szlachetnych ludzi ich do siebie nie przygarnęła i nie dała im tego wykształcenia i wychowania, jakiego ubodzy ich rodzice dać im nie mogą? Trzeba koniecznie im dać sposób do życia i wychować je wedle zasad katolickich, zanim błąd nie zabrudzi im umysłu i zanim występek nie zatruje ich młodocianego serca. Młodzież bowiem jest korzeniem i nasieniem społeczeństwa religijnego i cywilnego. Za lat kilkanaście i więcej będą stanowić te dzieci siłę narodu ujemną albo dodatnią. Jaka teraz młodzież, taki będzie po niewielu latach naród; przecież nasienie do siewu wybiera się bez wylubu i chwastów? A jeśli pole na wiosnę pozostawione nieuprawione, to w lecie nie rozweseli oczu waszych; zamiast snopów zboża, ujrzycie burzany, chwasty i osty, które oczy wasze obrażą i nogi wam skłują.

(*Dokończenie nastąpi*).

Polacy w Patagonii i Ziemi Ognistej.

(*Katolik* nr. 29 r. 1896).

Podczas mej podróży, którą jako lekarz okrętowy odbyłem na niemieckim parowcu pocztowym ,,Neko", zarzuciliśmy w powrocie z *Peruwii* dnia 2 lipca b. r. kotwicę w *Punta Arenas*, mieście najbardziej południowem nie tylko w Ameryce, ale na całym świecie, leżącem w Patagonii nad bardzo piękną

cieśniną *Magellacns.* Ponieważ okręt nasz kilka godzin się zatrzymał gwoli zaopatrzenia się w żywność, przeto skorzystałem ze sposobności i z kapitanem udałem się naszą łodzią na ląd.

Zima tam panowała dżdżysta i niemiła, podczas gdy u nas, pod ciepłem jasnych promieni słonecznych, dojrzewały piękne łany zboża. Mieścina, prawie z samych bezpiętrowych domków się składająca, po większej części z desek lub z płyt blachy żelaznej zbitych, tu i owdzie tylko większa kamienica z powiewającą banderą (chorągwią), gdzieniegdzie jeźdzca w hiszpańskim płaszczyku i szerokim kapeluszu, brnącego na małym koniku przez błoto.

Nie wiele więc było do widzenia i potrosze zniechęcony zabierałem się do powrotu do łodzi po przez owe kładki z belek, gdy spotkałem dwóch podróżnych z naszego okrętu — Amerykanina i młodego Hiszpana, którzy się byli dowiedzieli, że jedyna rzecz godna widzenia jest tu klasztór *OO. Salezyanów*, a w nim zbiór wyrobów indyańskich oraz starożytności, znalezionych w tej części ziemi.

Poszedłem więc z nimi i zaraz na wstępie



Kolegium XX. Salezyanów w Punta Arenas.

wskazywała, że mieści konsulat lub jednę z niewielu władz rządowych Rzeczypospolitej chilijskiej. Same zresztą składy lub *hotele* i *osterias* (oberże) z szumnymi napisami na godłach, a w nich raczący się gorącymi trunkami ludzie z najróżniejszych stron świata, których chciwość złota i chęć łatwego zarobku do tego coraz więcej rozwijającego się portu sprowadziła. Ulice bez bruku, bez kamieni, w czasie odwilży istne bagna, przez które gdzieniegdzie gwoli wygody mieszkańców położono belki, by kołysząc się na nich, jako linoskoczek przedostać się mógł przechodzień na drugą stronę. Na ulicach mało kogo spotkać, prócz okrytych skórami, długowłosych Indyan z ogromnemi głowami i jak najuprzejmiej przyjęci przez jednego z Ojców, obejrzeliśmy prawdziwie zajmujące zbiory. W czasie rozmowy, po części po hiszpańsku, po części po francusku prowadzonej z duchownym, który nam zbiory pokazywał, zapytał mnie tenże, zkąd jestem. Na moją odpowiedź, że jestem Polakiem, ucieszył się bardzo i odrzekł, że jest w klasztorze trzech braciszków Polaków, których też wkrótce zawołał. Uradowali mi się niezmiernie, jak i dla mnie wielką było radością, módz po kilku miesiącach podróży z obcymi, naszą ukochaną polską porozmawiać mową.

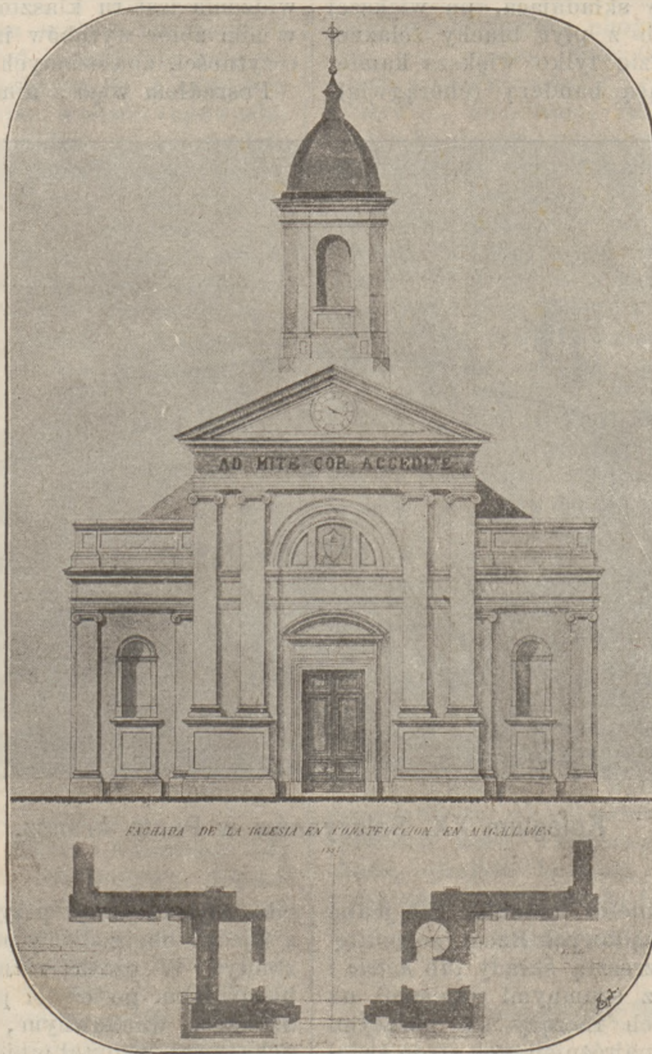
Hiszpan i Amerykanin stali zdumieni obco brzmiącymi dźwiękami, a księża Salezyanie obdarzyli mnie hojnie różnego rodzaju bronią

Indyan i fotografiami tychże, a na domiar uprzejmości, pozwolili mym rodakom odprowadzić mnie do portu. Obładowani więc podarkami ruszyliśmy, w ożywionej rozmowie nie zważając na błoto, ku *molo*, to jest mostowi, zbudowanemu na palach żelaznych głęboko w morze, aby łodzie przy nim zakładać można. Dowiedziawszy się atoli, że kapitan, dostawszy się do kompanii starych znajomych, nie myśli powracać jeszcze na pokład, wstąpiliśmy do pobliskiego *hotelu*, gdzie przy piwie ze spokojem mogliśmy gwarzyć o naszej ukochanej, a tak dalekiej ziemi ojczystej. Poczciwe te nasze polskie, otwarte, szczerą radością rozjaśnione twarze, jakże odbijały od ponurych, niezliczonemi burzami stwardniałych rysów niemieckich marynarzy.

Nazwiska dzielnych wiarusów, którzy dla wzniosłej idei zaszczepienia chrześcijaństwa wśród dzikich Indyan, opuścili słoneczny, jaśniejący bogatymi łanami kraj ojczysty, zamieniając go na ciągle mgliste i dżdżyste, zaledwie początkiem kultury dotknięte strony, wśród żywiołów, wrogich ich pięknym zamiarom, są następujące: Adolf Kwaśny z *Lipin*, w powiecie bytomskim, Franciszek Frącek z *Ruchelsdorf* pod Namysłowem, Jan Chudzicki z *Pajęczna* w Radomskiem.

Uderzyła mnie piękna i czysta ich mowa bez wszelkich, nieraz napotykanych na Śląsku zwrotów i wyrazów obcych. Są oni laikami w klasztorze OO. Salezyanów, przez sławnego ks. Bosko założonym, i przed kilkoma laty dostawszy się do *Turynu*, gdzie się odpowiednio wykształcili, zostali zeszłego roku wysłani na misye do *Patagonii* i *Ziemi Ognistej*.

Trzej wymienieni zamieszkują w Punta Arenas, czterech innych zaś i to: Jan Sikora z *Miechowic*, Piotr Gabrysiak, Gabryel Kozłowski, Walenty Słabosz z Królestwa Polskiego (pod Moskalem), znajdują się na wyspie *Dawson* (w Ziemi Ognistej). Szczególnie pierwszy z całem poświęceniem swej osoby pracuje nad zaszczepieniem wiary w sercach dzikich i mało pojętnych Indyan. Zaledwie od roku znajdują się Rodacy nasi tam, a już zdobyli sobie zaufanie i uznanie przełożonych, jak się z ust tychże samych dowiedziałem. Gwarzyliśmy, aż czas zeszedł szybko, i ani się spostrzegłem, jak kilka godzin minęło, a coraz bardziej wzburzone fale grożące rozbiciem łodzi naszej o pale *molu* zmusiły mnie do rozstania się z zacnymi Rodakami, którym obiecałem, po szczęśliwym powrocie do kraju, przesłać od nich „*Katolikowi*“ serdeczne pozdrowienia dla wszystkich Ziomków na Śląsku, jak i innych częściach ziemi polskiej. Kilka godzin spędzonych w Punta Arenas należało do najmilszych podczas całej mej długiej podróży.



Kościół salezyański w Punta Arenas.

Dr. Adam Karwowski.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.